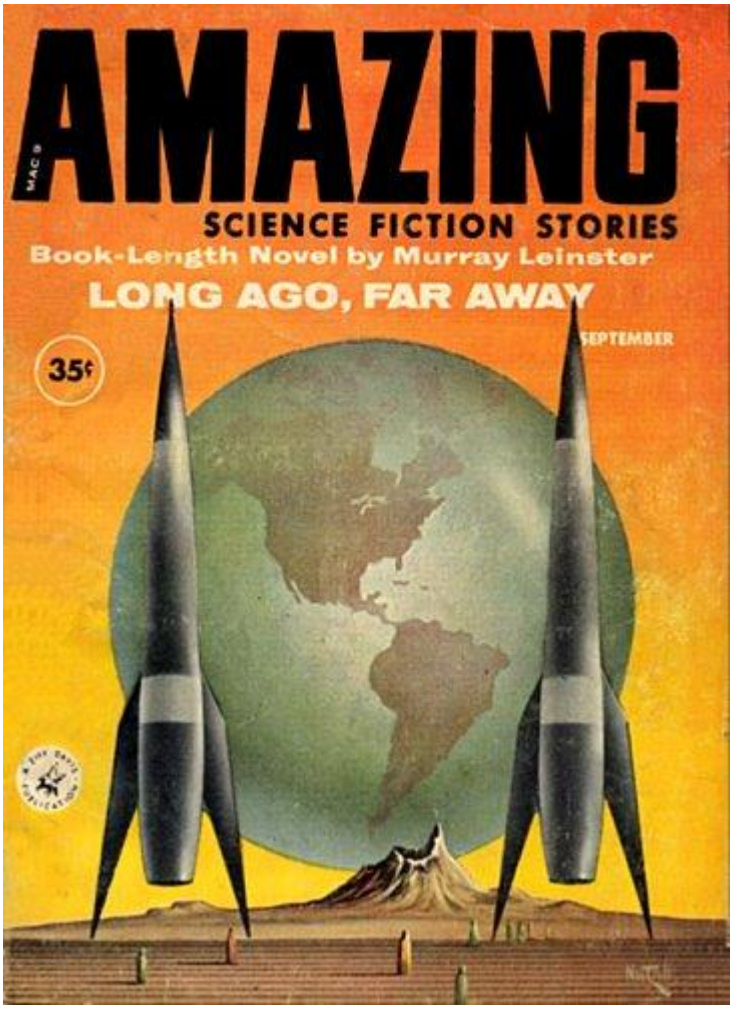

AMAZING
SCIENCE FICTION STORIES
Book-Length Novel by Murray Leinster
LONG AGO, FAR AWAY
SEPTEMBER
35¢

Murray Leinster

Dawno temu, daleko stąd

(Long Ago, Far Away)

Amazing Science Fiction Stories September 1959.

Okładka: Albert Nuetzell
Ilustracje wewnątrz: Virgil Finlay
Tłumaczenie: Witold Bartkiewicz © Public Domain
Oryginał tekstu i ilustracje zaczerpnięto z wydania Projektu Gutenberg.

© Public Domain
This text is translation of the novella "Long Ago, Far Away" by William Fitzgerald Jenkins (Murray Leinster), published by Project Gutenberg, December 18, 2007 [EBook #23892]
According to the included copyright notice:
"This etext was produced from Amazing Science Fiction Stories September 1959. Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed."
It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Translation by Witold Bartkiewicz, Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

This eBook is for the use of anyone anywhere at no cost and with almost no restrictions whatsoever. You may copy it, give it away or re-use it under the terms of the Project Gutenberg License available online at www.gutenberg.org



Rozdział 1

Czarne błyszczące miriadami gwiazd niebo tworzyło wspaniały kontrast dla białej ziemi. Tyle że tak naprawdę to wcale nie była ziemia, lecz lód – ciągnący się na północ dwadzieścia mil do Bariery, a na południe aż do samego bieguna. Pokrywał wszystko, nawet wysokie w przeszłości góry, tworząc wyjące pustkowie – zimny ponad wszelkie wyobrażenie.

Baza była niemal zupełnie zagrzebana pod śniegiem. Żółtawa świecąca powierzchnia wystająca po jednej stronie głównego budynku placówki, wskazywała miejsce położenia plastikowej kopuły radaru służącego do obserwacji meteorów. W środku Brad Soames pokazywał właśnie specjalistyczne wyposażenie stacji, reporterce oblatującej Antarktydę i piszącej artykuły o interesujących ludziach, dla nie za bardzo zainteresowanych czytelniczek.

W całej bazie panowała kompletna cisza i spokój. Wydawało się, że jest to najmniej prawdopodobne ze wszystkich możliwych miejsc, w których mogłoby się wydarzyć coś ważnego.

Nie spał tylko jeszcze jeden człowiek, dyżurny na służbie. Lampy stojącego przed nim radia jarzyły się lekką poświatą — krótkofalowy aparat dostrojony był do częstotliwości używanej przez wszystkie bazy antarktyczne wszystkich narodów — angielskie, francuskie, belgijskie, duńskie, rosyjskie. Dyżurny szeroko ziewnął. Właściwie to nie miał nic do roboty.

– Z mojej pracy nie wyciśnie pani żadnej interesującej historii – uprzejmie opowiadał dziennikarce Soames. – Pracuję, korzystając z tego radaru kierunkowego. Ustawiony jest tak, by badać niebo a nie obiekty na horyzoncie. Pozwala wychwycić zbliżające się z kosmosu meteory, rejestruje ich wysokość nad Ziemią, kurs i szybkość, a następnie śledzi jak lecą w dół, do chwili, kiedy nie spłoną w atmosferze. Na podstawie jego zapisów możemy wyliczyć orbity, którymi podążały zanim ściągnęła je na dół grawitacja Ziemi.

Reporterka nazywała się Gail Haynes. Kiwała potwierdzająco głową, ale spoglądała raczej na Soamesa zamiast na skomplikowany instrument. Nosiła na sobie, dobrze zabezpieczającą przed zimnem, wielowarstwową odzież, zaprojektowaną specjalnie dla ludzi na Antarktydzie, ale jakimś cudem nie wyglądała w niej groteskowo. Widać jednak było, że w tej chwili jest nieco poirytowana. Trzecią osobą w kopule była kapitan Estelle Moggs, A. W. C., odpowiedzialna za podróż Gail i generalnie za kontakty public relations.

– Po prostu sporządzam mapy trajektorii meteorów - powtórzył Soames. – To wszystko. Nie ma w tym żadnego drugiego dna.

Gail pokręciła głową, przypatrując się mu uważnie.

– Nie możesz dać mi bardziej ludzkiego spojrzenia? – zapytała. – Jestem kobietą. Lubię, kiedy ktoś próbuje mnie czymś zainteresować.

Wzruszył ramionami, na co dodała niepocieszona:

– Co nam da poznanie orbit meteorów, które lecą do nas?

– Dzięki temu być może uda nam się znaleźć pewne specjalne meteory – stwierdził sucho, – które doprowadzą nas do odkrycia kiedy rozpadła się Piąta Planeta. Zgodnie z regułą Bodego, między Marsem i Jowiszem powinna znajdować się jeszcze jedna być planeta. Jeżeli faktycznie tam była, to rozleciała się na kawałki, albo może żyjące na niej istoty wywołały wojnę atomową.

Gail pochyliła głowę w jego stronę.

– No, teraz to robi się bardziej obiecujące! – powiedziała. – Byle tak dalej!

– Na orbicie okołosłonecznej między Marsem i Jowiszem powinna znajdować się planeta – kontynuował. – Nie ma jej tam. Zamiast niej w lata mnóstwo orbitujących szczątków. Niektóre z nich są tak daleko od Słońca jak Jowisz. Inne są w odległości Ziemi. Większość z nich krąży głównie między Marsem i Jowiszem, i są to kawałki skały i metalu, o najróżniejszych kształtach i rozmiarach. Te większe z nich nazywamy asteroidami. Dotychczas co prawda nie ma na to żadnego dowodu, ale jedna z najbardziej poważnych hipotez jakie się rozważa, zakłada że są to fragmenty piątej planety, która wybuchła lub została wysadzona przez swoich mieszkańców. Sprawdzam orbity meteorów, aby stwierdzić, czy któreś z nich, tak naprawdę nie są małymi asteroidami.

– Hmmm… – powiedziała Gail. Rzuciła jednym z tych zadziwiających, niepowiązanych skrawków informacji, jakimi często dysponują ludzie z biznesu prasowego. – Czyż nie mówi się, że góry na Księżycu zostały utworzone przez spadające na niego asteroidy?"

– Uznaje się co najmniej za możliwe, że Księżyc zderzał się wielokrotnie z fragmentami piątej planety – zgodził się z nią Soames. – Faktycznie rzecz biorąc, takie mniej więcej przyjmuje się wytłumaczenie ich powstania.

Spoglądała na niego wyczekująco.

– Muszę myśleć o moich czytelniczkach – nalegała Gail. – To dosyć interesujące, ale jak miałabym zrobić z tego coś, czym się naprawdę przejmą? Kiedy te skały uderzały w Księżyc, to dlaczego nie w Ziemię?

– Wręcz przeciwnie, zakłada się raczej, że uderzały – powiedział jej Soames. – Ale na Ziemi musimy wziąć pod uwagę czynniki atmosferyczne, a to zdarzyło się dawno, dawno temu, za czasów trójpalczastych koni i ryb ganoidów[1]. Bez wątpienia Ziemia kiedyś została równie silnie zdewastowana jak Księżyc. Ale pozostałości po tym, góry pierścieniowe, powoli niszczyły wiatry, deszcze i śniegi. Wypiętrzyły się nowe łańcuchy górskie. Zmieniły się kontynenty. Nie ma teraz sposobu, by odnaleźć choćby ślady katastrofy z tak odległej przeszłości. Na Księżycu jednak nie ma żadnych czynników atmosferycznych. Nic, nigdy się na nim nie zmienia. Jego rany nigdy nie zostały uleczone.

Gail zmarszczyła brwi w wyrazie koncentracji.

– Takie bombardowanie byłoby czymś trudnym do przetrwania – drążyła temat. – Wojna atomowa w porównaniu z nim wygląda na coś wręcz trywialnego. Ale to stało się tak dawno, całe miliony lat temu. My, kobiety chcemy dowiadywać się o rzeczach, które dzieją się obecnie!

Soames otworzył usta, by coś powiedzieć. Nie zdążył jednak tego zrobić.

[1] Ganoidy – grupa ryb, których ciało pokryte jest tarczkami kostnymi, powleczonymi podobną do szkliwa substancją – ganoiną. Prawdę mówiąc ganoidy występują do dziś, np. jesiotry, niszczuki, ale faktycznie, w przeszłości były dużo, dużo bardziej powszechne (przyp. tłumacza).

Błyszcząca, drgająca srebrzysta rura radaru kierunkowego, nagle się ustabilizowała. Przestała wodzić niespokojnie pomiędzy wyznaczonymi punktami w górze, ponieważ ku Ziemi właśnie zmierzał jakiś mały obiekt. Zamarła w bezruchu. Wskazywała jedno miejsce, drżąc lekko, jakby z entuzjazmu. Wycelowana była w obszar leżący gdzieś wysoko nad horyzontem, na południowym wschodzie.

– O, mamy meteor. Właśnie spada – powiedział Soames.

Potem spojrzał ponownie. Na dwóch, bliźniaczych ekranach radaru, powinny świecić dwa jasne punkciki, jeden wskazujący wysokość wykrytego obiektu i drugi jego kąt wejścia w atmosferę i odległość. Oba ekrany były jednak puste. Nie wyświetlały zupełnie niczego. Wyglądało to, jakby w miejscu, w którym ustabilizował się radar i w które był wycelowany, po prostu nic nie było. Oba ekrany połyskiwały jedynie lekką poświatą. Pisaki przyrządów pomiarowych zapisywały na swoich taśmach zupełnie bezsensowne wskazania. Radar, a już szczególnie radar służący do śledzenia meteorów, jest bardzo precyzyjnym instrumentem. Potrafi albo wykryć obiekt, i wypunktować jego położenie, albo nie jest w stanie tego zrobić, w zależności od tego czy obiekt odbija impulsy radarowe czy nie. Zazwyczaj odbija.

Odczyty, przekazywane im przez radar, na który spoglądali, były po prostu bezsensowne. Sprawiało to takie wrażenie, jak gdyby nie otrzymywał on odbić wszystkich wysłanych przez antenę impulsów, ale jedynie części z nich. Ściślej mówiąc, wyglądało to tak, jak gdyby coś istniało z przerwami, albo było częściowo rzeczywiste, a częściowo nie. Albo jak gdyby radar napotkał niemal-coś, co było na krawędzi stania się rzeczywistym, i nie całkiem takim się stało.

– Co u …

Radio do komunikacji między stacjami nagle ryknęło z całej siły. W tej samej chwili również, bliźniacze ekrany radaru rozbłysły jaskrawym światłem, na całej powierzchni. Podwójne pióra urządzenia zapisującego pomiary na taśmie, zaczęły się szamotać, kreśląc po papierze zwariowane bazgroły. Hałas był ogromny. Wrzask, pisk i zgiełk, jakiego nie powinno wydawać z siebie żadne radio. Brzmiała w nim groza i przerażenie. I chociaż Soames nie mógł tego wiedzieć, w tej samej chwili, dokładnie taki sam dźwięk, dobiegał z każdego aktualnie wykorzystywanego odbiornika radiowego i telewizyjnego na całym świecie.

Hałas skończył się nagle, jak ucięty nożem. Jednocześnie na obydwu ekranach radaru przeciwmeteorytowego pojawił się wyraźny, jasny punkt. Na ekranie wskazującym wysokość można było odczytać, że źródło jego pochodzenia znajdowało się na wysokości czterech mil. Ekran wskazujący kąt i odległość podawał z kolei, że przemieszczało się ono przez atmosferę pod kątem 167°, w odległości osiemdziesięciu mil od bazy. Zgodnie z podawanymi przez radar informacjami, jakiś obiekt pojawił się z nicości, zmaterializował się po prostu znikąd. Nie przyleciał. Stał się. Powstał na wysokości dwudziestu tysięcy stóp, osiemdziesiąt mil od bazy, lecąc pod kątem 167° w stosunku do ziemi, a jego pojawieniu towarzyszył taki wybuch hałasu radiowego, jakiego nie spowodowała nigdy wcześniej ani żadna burza, ani wyładowanie atmosferyczne, ani nawet eksplozja atomowa.

W tej chwili obiekt, który przybył znikąd i dlatego był czymś zupełnie nieprawdopodobnym, przemieszczał się z grubsza w kierunku wschodnim, z trzykrotną prędkością dźwięku.

Z głośnika radia nastrojonego na wspólne pasmo komunikacyjne między bazami, wylewała się cała fala obcych, różnojęzycznych głosów, dopytujących się co to było? Rosyjski głos warknął podejrzliwie, że należy zapytać Amerykanów.

A radar kierunkowy ciągle śledził jakiś duży obiekt, który pojawił się zupełnie znikąd.

Absolutne nieprawdopodobieństwo zaistnienia podobnego zjawiska, było tylko częścią tej tajemniczej sprawy. Radar dalej śledził poruszający się obiekt, który leciał w oddali przez zimną antarktyczną noc, w kierunku wschodnim. Nagle wydawało się że zahamował. Zgodnie ze wskazaniami radaru, początkowo szybkość obiektu była zbliżona do 3 machów, a więc około trzydziestu dziewięciu mil na minutę. Potem szybko zwolnił. W końcu zupełnie jakby stanął w miejscu. Po chwili rzucił się wstecz, mniej więcej wzdłuż swojego poprzedniego toru lotu. Na moment zakołysał się cztery mile nad ziemią, całkowicie zmieniając kierunek. Zanurkował w dół. Na pełną sekundę zawisł nieruchomo w powietrzu, i ponownie nieoczekiwanie rzucił się w górę, w obłąkanym korkociągu, który skończył się równie niespodziewanie, raptownym spadkiem ku powierzchni ziemi.

Leciał w dół jak kamień. Trwało to kilka długich, długich sekund. W pewnej chwili zatrząsł się, jak gdyby podjął ostateczny wysiłek, aby powrócić do swoich poprzednich powietrznych szaleństw. Ale trwało to jedynie przez moment, i ponownie poleciał bezwładnie w dół. W końcu dotarł do horyzontu. Spadł gdzieś poza jego linią.

Kilka sekund później ziemia bardzo, bardzo lekko zadrżała. Soames sprawdził urządzenie rejestrujące. Jego pióra tańczyły po papierze. Jakieś trzęsienie ziemi również zostało więc zarejestrowane przez urządzenia.

Sprawdził odstęp czasu pomiędzy wybuchem wycia zakłóceń, a początkiem zapisu, gdy efekty uderzenia dobiegły do instrumentu. Fale drgań skorupy ziemskiej, poruszają się z szybkością czterech mil na sekundę. Radar wskazywał, że materializujący się w powietrzu obiekt, uczynił to jakieś osiemdziesiąt mil od nich. Zakłócenia wybuchły w tym samym momencie. Pomiędzy chwilą powstania zakłóceń, a dotarciem do urządzenia czoła fali wstrząsu sejsmicznego minęło dwadzieścia sekund. Tak więc miejsce wystąpienia zakłóceń i powstania tego obiektu z nicości, zgadzało się z położeniem źródła pochodzenia wstrząsu sejsmicznego. Musiało wobec tego chodzić o to samo zjawisko. Trzęsienie ziemi było więc związane z samym pojawieniem się wybuchu szumów radiowych, a nie uderzeniem spadającego obiektu o powierzchnię ziemi, które nastąpiło minutę później.

Soames usiłował sobie wyobrazić, co właściwie mogło się stać. Z sieci radiowej, dobiegała tylko jakaś paplanina między bazami. Ktoś zauważył, że zakłócenia wystąpiły jednocześnie na wszystkich długościach fal. Głosy, dobiegające z odbiornika dyskutowały teraz na ten temat.

W kopule radaru, kapitan Moggs stwierdziła z oburzeniem.

– To potworne! Zawiadomię o tym Waszyngton! Co to było, panie Soames?

Soames wzruszył ramionami.

– Nie znam rzeczy albo zjawiska, które mogłoby spowodować takie skutki – odparł. To po prostu było absolutnie nieprawdopodobne. W tamtym miejscu niczego podobnego, nie powinno po prostu być.

Gail przechyliła głowę na jedną stronę.

– Czy to znaczy, że mieliśmy do czynienia ze zjawiskiem nieznanym nauce?

Soames uświadomił sobie w tej chwili, jak bardzo polubił Gail. Zdecydowanie za bardzo. Oświadczył więc oficjalnym tonem.

– Radar próbował wykryć i wziąć namiar na obiekt, którego w tamtym miejscu nie było. Mówiąc nieco bardziej precyzyjnie, radar wykrył jakąś rzecz tuż przed tym, zanim stała się ona obiektem radarowym, czyli takim który mógłby zostać wykryty przez radar. – Takie stwierdzenie jednak absolutnie niczego nie wyjaśniało.

To nie mógł być samolot. Samolot nie może pojawić się w powietrzu nagle, zupełnie znikąd. Musiałby być widoczny na radarze już wcześniej, dolatując do miejsca całego zdarzenia. Mógłby to być meteor, ale to nie był meteor, ponieważ poruszał się zbyt wolno, zmieniał kurs, zastygał nieruchomo w powietrzu i leciał w górę. Nie był to również pocisk. Pocisk balistyczny nie jest w stanie zmieniać kursu, pocisk manewrujący byłby wcześniej widoczny na radarze.

Spojrzał na zegarek.

– Sześć i pół minuty od zakłóceń – powiedział ponuro. – Osiemdziesiąt mil. Dźwięk w każde cztery sekundy pokonuje milę. Ponad minutę latał w powietrzu… Posłuchajmy. Dziesięć sekund … osiem … sześć … cztery …

Do tego czasu radar przeciwmeteorytowy powrócił już do swojego normalnego trybu pracy. Jego posrebrzana kwadratowa tuba skakała i podrygiwała, obracając się szybko to tu, to tam, niestrudzenie przeszukując całe niebo.

Nagle rozległ się narastający huk. Był niesamowicie niski. Trwał nieprzerwanie, przez dłuższy czas. Miał taką niską częstotliwość, że wydawał się być bardziej wibracją powietrza niż dźwiękiem.

Stopniowo zamarł w oddali.

– To fala uderzeniowa wstrząsu – uspokajającym tonem wyjaśnił Soames. – Dotarła do nas czterysta sekund po zakłóceniach. Osiemdziesiąt mil… Hałas był całkiem głośny jak na taką dużą odległość! Wstrząs powierzchni będzie raczej zbyt krótki, abyśmy z osiemdziesięciu mil zarejestrowali go jako trzęsienie ziemi. Nawet rozbłysk musiał być bardzo gwałtowny, aby zakłócić odbiór radia i radaru z tej odległości… Dzisiaj wieczorem, tam na zewnątrz musiało się zdarzyć coś naprawdę bardzo niezwykłego.

Gail szybko wtrąciła:

– A może to był statek kosmiczny z innej planety?

– Widzielibyśmy go, jak wchodzi w atmosferę z przestrzeni kosmicznej. – stwierdził Soames. – To też nie to.

– Tajna broń – twardym tonem oznajmiła kapitan Moggs. – Wysyłam raport do Waszyngtonu i poproszę o polecenie zbadania tej sprawy.

– Nie robiłbym tego na twoim miejscu – powiedział Soames. – Jeżeli się pyta o rozkazy to potem trzeba na nie poczekać. Jeśli zaś będziemy czekać na rozkazy, to czymkolwiek byłby ten opadający obiekt, do czasu zanim one przyjdą, zostanie zasypany przez śnieg.

Gail spojrzała na niego z zainteresowaniem, przymrużając oko.

– Co więc masz zamiar teraz robić?

– Myślę powiedział Soames, – że powinniśmy to odnaleźć i dopiero potem wysłać raport. Planowałaś napisać milutki artykulik o Gospodyniach Domowych Antarktydy; Troskliwość i Dokarmianie Czyjegoś Pingwiniego Męża. Zgadza się?

Gail uśmiechnęła się nagle.

– Rozumiem. Tak.

– No to lecimy helikopterem - zaproponował Soames. – Wyruszamy niby to, zebrać dalsze materiały do artykułu na temat Czy To Pingwinie Małżeństwo Można Jeszcze Uratować. Ale oczywiście zostaniemy zepchnięci z kursu przez wiatr. Całkiem przypadkowo znajdziemy się w miejscu, które radar wskazał, jako źródło tego praojca wybuchów zakłóceń,

połączonych z trzęsieniem ziemi i wywołujących falę uderzeniową. Możemy nawet zostać zdmuchnięci nieco dalej, tam gdzie to coś zanurkowało w dół z wysokości czterech czy pięciu mil i znikło za horyzontem.

Kapitan Moggs powiedziała niespokojnie:

– Zupełnie wbrew wszelkim przepisom. Ale to chyba będzie rozsądne wyjście.

– Oczywiście – powiedział Soames. –Zawsze bezpieczniej jest złożyć raport o czymś co się znalazło, niż nie znaleźć tego o czym składało się raport.

– Startujemy o świcie – władczym tonem oznajmiła kapitan Moggs.

Soames wrócił do radaru. Kiedy spojrzał ponownie na ekran, właśnie wskazywał on jakiś niewielki obiekt, który pojawił się na wysokości siedemdziesięciu dziewięciu mil, a potem śledził tego niewyobrażalnie starego kosmicznego wędrowca jak spada w dół, aż do spektakularnej śmierci w ogniu na wysokości trzydziestu czterech mil.

Starannie sprawdził całe urządzenie. Pracowało idealnie. Przechowywany na taśmie zapis obserwacji przyrządu zawierał historię tego wszystkiego, co wcześniej oglądał razem z Gail i kapitan Moggs. Maszyna może popełniać błędy, ale nie ma zwidów. To co oznajmiał i zapisywał radar musiało być prawdą, chyba że stał się podmiotem jakiejś paranoidalnej, konsekwentnej i systematycznej halucynacji.

Po nadejściu świtu, udał się do hangaru helikoptera. Na pasie startowym stał samolot dostawczy, ale do wyposażenia bazy należał również helikopter. W pewnym momencie złapał się na niezwykle sumiennym sprawdzaniu poszczególnych jego systemów. Chociaż nigdy by się do tego głośno nie przyznał, to jednak zdawał sobie sprawę, że robi to, ponieważ na pokładzie maszyny miała znaleźć się Gail.

Kiedy zmierzał z powrotem do głównego budynku, jeden z gangu geofizyków przywołał go do siebie gestem ręki. Ruszył za nim do małej, rozłożystej chaty – obecnie zasypanej aż po sam dach przez śnieg – w której niestrudzenie tykał sam do siebie sejsmograf.

– Myślałem już, że mi odbija – powiedział geofizyk. – Czy słyszałeś kiedyś o trzęsieniu rozwijającym się do środka, od zewnątrz?

Wskazał ręką na taśmę z wykresem, która bardzo, bardzo powoli przesuwała się pod pisakami sejsmografu. Zapis rzeczywiście wyglądał dziwnie.

– Jeżeli położysz rękę w wannie tuż pod powierzchnią wody – powiedział geofizyk znękanym głosem, – i szarpniesz ją w dół, to tworzy się wgłębienie, która rozszerza się, ciągnąc za sobą falę. To dokładnie odwrotna sytuacja, niż w przypadku wrzucenia do wody kamienia, wypychającego falę, która rozprzestrzenia się, ciągnąc za sobą wgłębienie w formie rowu. I z wyjątkiem tego łazienkowego sposobu tworzenia fali, wszystkie fale — w absolutnie wszystkich systemach falowych — rozchodzą się jako szczyt z występującym za nim spadkiem. Wszędzie i zawsze, no chyba że bawisz się w wannie, w taki sposób jak ci mówiłem."

– Jeśli o mnie chodzi, to jestem prysznicowcem – zauważył Soames. – Ale możesz kontynuować.

– To – powiedział gorzko geofizyk, – jest jak ta fala w wannie. Widzisz? Grunt został jakby wyciągnięty, a po chwili wepchnięty na miejsce. Fale normalnego wstrząsu najpierw się rozpierają, a potem wskakują z powrotem. Pęknięcia lodu, uślizgi skał, dowolnego typu eksplozje, wszystkie te zjawiska generują ten sam typ fal. Wszystkie najpierw mają fazy nacisku, a potem fazy rozrzedzenia, potem ponownie nacisku, i tak dalej. Co to – jego głos zabrzmiał żałośnie – do diabła jest?

– Mówisz więc – Soames zapytał po chwili, – że zapis normalnych fal trzęsienia ziemi wygląda jak fala eksplozyjna, a żeby uzyskać zapis taki jak ten to musieli byśmy mieć do czynienia z implozją?

– Właśnie! – powiedział geofizyk. – Ale w jaki sposób implozja może spowodować trzęsienie ziemi? Muszę wziąć i rozłożyć to całe cholerne trzęsące się pudło, żeby sprawdzić co się z nim dzieje! Ale oczywiście wszystko będzie w porządku! Po prostu zarejestrowało to co się faktycznie działo! Ale jak to się mogło stać!

– Implozja – powiedział Soames zamyślonym tonem. – No cóż, jeżeli masz kłopot ze zrozumieniem tego, to jest nas dwóch.

Wrócił do głównego budynku bazy, by spotkać się z Gail i kapitan Moggs. Wyszli potem razem do hangaru helikoptera.

– Rozmawiałem z operatorem radaru i dyżurnym łącznościowcem – powiedział Soames. – Wyjaśniłem, że chciałabyś obejrzeć z powietrza jakieś szczeliny w lodzie, a ja porozglądam się za nimi na drodze do głównej bazy. Będą nas kontrolnie wywoływać co piętnaście minut.

Helikopter ruszył w górę długiej nachylonej rampy, usypanej ze śniegu przez spychacz. Soames sprawdził kontakt radiowy. Kiwnął głową. Silniki zawarczały, ryknęły i grzmiały coraz silniej, gdy maszyna pomyślnie ruszyła w górę i stopniowo wzniosła się ponad wystające okruchy lodu.

Lecąc nad powierzchnią, której krajobraz nigdy nie był uważany za specjalnie podnoszący na duchu, mały helikopter wyglądał bardzo samotnie.

Soames początkowo utrzymywał się w obszarze widoczności radaru, a kiedy był gotowy przekazał do bazy:

– Schodzę w dół, polować na szczeliny.

Zleciał helikopterem niżej. Wokół nich, na olbrzymim obszarze, rozciągało się niemal zupełnie pozbawione cech charakterystycznych pustkowie. Obliczył ich pozycję w odniesieniu do źródła wystąpienia zakłóceń, trzęsienia ziemi i fali uderzeniowej. Wydawało się, że w tej części śnieżnej pustyni, nie ma zupełnie niczego co by ją odróżniało od innych jej fragmentów. Nagle coś mignęło mu przed oczyma. Nie tu. Za bardzo w lewo. Na śniegu pojawił się jakiś wzór, jakby wyrzeźbiony przez podmuchy powietrza. Był już dosyć mocno rozwiany, jego krawędzie z wolna traciły swoją ostrość. Raczej, nie tego się spodziewali. Składał się z linii – rowków – wyrzeźbionych przez porywy powietrza na powierzchni śniegu. Dominowały spiralne linie, prowadzące ku punktowi centralnemu. W najmniejszym stopniu nie przypominało to krateru wybuchu, który mógłby spowodować trzęsienie ziemi.

Soames wyjął aparat fotograficzny ze skrytki w kabinie helikoptera. Gail wpatrywała się na dół.

– Wydaje mi się, że kiedyś już coś takiego widziałam – powiedziała zaintrygowana. – Nie na zdjęciu. Z pewnością nie na polu śnieżnym. Myślę, że wygląda to jak jakiś diagram.

– Powiedzmy, diagram huraganu – sucho powiedział Soames. – Tak musi wyglądać cyklon, widziany prosto z góry. Chłopcy z meteorologii załamią się i będą ryczeć jak bobry, kiedy zobaczą to zdjęcie.

Zrobił kilka zdjęć. Cienie stworzonych przez wiatr wyżłobień, powinny wyjść na filmie bardzo wyraźnie.

– Jeżeli – dokończył Soames, – ktoś nie pstryknął już kiedyś trąby powietrznej dotykającej pola śnieżnego i wyskakującej w górę, to będzie to pierwsze zdjęcie tego typu zjawiska. Zauważcie, że to nie jest ślad eksplozji. Podmuch nie wyrzucił śniegu na zewnątrz.

Te wgłębienia zostały zrobione w dośrodkowo. Momentalnie. To jest wzorzec eksplozji do wewnątrz, lub dokładniej mówiąc implozji.

– Nie rozumiem – powiedziała Gail.

– Eksplozja – ponuro powiedział Soames, – Jest rozprzestrzeniającym się na zewnątrz nagłym wybuchem pewnej masy gazu. Implozja jest gwałtownym wtargnięciem gazu w nagle pojawiającą się próżnię. Jeśli odpali się petardę, mamy eksplozję. Jeśli rozbije się żarówkę, mamy implozję.

– Ale jak mogło się stać coś takiego?

– Gdybyśmy wiedzieli – odparł Soames, – to może byśmy już brali nogi za pas. Kto wie, być może powinniśmy.

– Tam! – nagle krzyknęła Gail.

Wskazywała na coś ręką. Nawiewany śnieg pokrył już niemal wszystko. We wskazanym miejscu jednak jakaś dziura w bieli, jakby cień. Cień poruszył się nieco, i pojawił się w nim jakiś obiekt zbyt ciemny, aby mógł to być śnieg.

– Tam jest osłonięte miejsce! – powiedziała Gail, – i w środku jest coś ciemnego!

Soames przysunął do swoich warg mikrofon.

– Wzywam bazę – krótko powiedział. – Wzywam bazę… Cześć! Jestem daleko poza ostatnim namiarem radaru. Moje położenie jeden siedem zero stopni od bazy. Weźcie na mnie namiar radionamiernika. Pośpieszcie się. Być może będę musiał lądować.

Słuchał, naciskając przycisk aktywujący przekaźnik radionamiaru, który wysyłał sygnał w odpowiedzi na sygnał z bazy, pozwalając bazie na obliczenie położenia i odległości. Rozsądniej było, aby takie obliczenia były wykonywane na ziemi. Znowu przygotował aparat fotograficzny.

Gail spoglądała przez lornetkę pokładową śmigłowca. Specyficzny cień – dziura – otwierająca się w nawianym śniegu, pojawiła się ponownie. Coś tam było. Wyglądało jak pocisk rakietowy, ale było z jasnego metalu i zbyt duże. Obiekt leżał krzywo na lodzie. Jego część – znaczna część – była rozbita.

– Statek kosmiczny? – zapytała Gail, – Myślisz, że to jest to?

– Niech niebo broni – powiedział Soames.

Zauważyli jakiś ruch. Jedna … dwie … trzy postaci wpatrywały się w górę, stojąc obok metalowego kształtu. Pojawiła się czwarta. Soames ponuro zrobił zdjęcia. Gail nagle głośno złapała oddech:

– To nie są mężczyźni! – powiedziała wstrząśnięta. – Brad, to są dzieci! Dziwnie ubrane dzieci, z gołymi rękoma i nogami! One są na zewnątrz, na śniegu! Zamarzną! Musimy natychmiast im pomóc!

– Wzywam bazę – powiedział Soames do mikrofonu. – Lądуję. Muszę. Jeżeli nie zgłoszę się po dwudziestu minutach, przylećcie tu ostrożnie — powtarzam ostrożnie — aby sprawdzić co się stało. Powtarzam. Jeżeli nie zgłoszę się po dwudziestu minutach, przylećcie tu ostrożnie, powtarzam ostrożnie, żeby sprawdzić co się stało.

Helikopter robiąc straszny hałas, schodził w dół, w stronę leżącego obiektu – oraz stojących na lodzie dzieci.

Rozdział 2

Z boku zawiewała śnieżna mgła, przesłaniając nieco widok, ale najwyraźniej na śniegu leżał częściowo zmiażdżony statek. Niemal do połowy długości kadłuba był poważnie zniszczony, jednak ewidentne było, że nigdy nie latał przy pomocy skrzydeł. Po prostu ich nie miał.

– Wygląda na statek kosmiczny – powiedziała Gail jednym tchem.

Soames wycedził z zaciśniętymi zębami:

– Oby nie, to mogłoby nas wszystkich wykończyć!

I mogłoby, bez żadnych wątpliwości. Na świecie i tak już skłóconym i podzielonym na dwa główne bloki obronne i sfrustrowane państwa neutralne; na świecie uzbrojonym w broń tak morderczą, że tylko strach przed odwetem utrzymywał pokój… Kontakt z bardziej zaawansowaną rasą raczej nie mógł zjednoczyć ludzkości ani w celu wspólnej obrony, ani dla korzyści, jakie taki kontakt by przyniósł. Zamiast tego, przeciwnie, należałoby się liczyć z wybuchem nienawiści i szaleńczych podejrzeń.

Wyższa cywilizacja mogłaby bez trudu przechylić szalę chwiejnej równowagi, dając uzbrojenie tylko jednej stronie. Świat na zewnątrz Żelaznej Kurtyny nie mógłby zaryzykować, że narody spoza Żelaznej Kurtyny staną się najlepszymi przyjaciółmi możliwych najeźdźców. Przywódcy komunistyczni nie mogliby zaryzykować, dopuszczenia do sytuacji, że wolny świat zawrze sojusz z nowocześniejszą technologią i bardziej rozwiniętą nauką. Tak więc prawdziwy kontakt z bardziej zaawansowaną cywilizacją mógłby być najbardziej śmiertelnym wydarzeniem, jakie miałoby miejsce na świecie, przynajmniej w jego dzisiejszej postaci.

Soames wyskoczył na zewnątrz. Spoglądał na statek i czuł się coraz bardziej chory. Ale pstryknął szybkie zdjęcie. Statek nie miał żadnych skrzydeł i widać było, że nigdy takowych nie posiadał. Miał prawdopodobnie około stu stóp długości i zbudowany był cały z jakiegoś jasnego metalu. Teraz prawie połowa kadłuba była zgnieciona i zmiażdżona podczas upadku. Jednak aż do chwili zderzenia statek musiał pozostawać pod częściową kontrolą, przynajmniej w takim stopniu, że uchroniło go to przed całkowitym zniszczeniem. Soames, przyglądając się mu, zauważył, że nie miał żadnych śmigieł, które utrzymywałyby go i pozwoliły się poruszać w powietrzu. Nie było też widać żadnych kanałów wlotu powietrza dla silników odrzutowych. To nie był odrzutowiec.

Nie miał również rakiet. Jego napęd był trudny do określenia, a przynajmniej dla ludzi żyjących tu i teraz, w naszym obecnym świecie.

Gail stała obok Soamesa, jej oczy promieniały. Zawołała:

– Brad! Tutaj nie jest zimno!

Dzieci spoglądały na nią z wyraźnym zainteresowaniem. Jedna z dziewcząt powiedziała coś uprzejmie, w jakimś całkowicie niezrozumiałym języku. Dziewczynki mogły mieć trzynaście lat lub coś koło tego. Chłopcy wyglądali na około rok starszych, i być może byli nieco silniejsi i lepiej umięśnieni niż większość chłopców w tym wieku. Cała czwórka

zachowywała się zupełnie spokojnie. Wyglądali na zaciekawionych, ale bynajmniej nie zaniepokojonych czy zmartwionych, jacy byliby z pewnością, gdyby mieli jakiś starszych towarzyszy rannych lub zabitych podczas katastrofy statku. Mieli na sobie jedynie lekkie ubrania, być może odpowiednie na dziecięce przyjęcie na plaży w środku lata, ale niezbyt stosowne na lodowce Antarktydy, o każdej porze roku. Każde z nich nosiło również pas ze sporymi metalowymi ramkami, umieszczonymi po obu stronach jego zapięcia

– Brad! – powtórzyła Gail. – Tutaj jest ciepło! Czy wyobrażasz to sobie? I nie ma wiatru!

Soames przełknął ślinę. Aparat fotograficzny wisiał mu na ręce. To co widział przed sobą, to mógł być jedynie statek kosmiczny, leżący częściowo rozbity na lodzie. Spojrzał na niego z czymś w rodzaju ponurej zaciętości. Niedaleko od samego statku, ale nieco z boku, stał wbity ukośnie w lód metalowy dźwigar, który najwyraźniej został ustawiony już po lądowaniu. Trudno powiedzieć w jakim celu.

Kapitan Moggs powiedziała rozkazującym tonem:

– Dzieci! Nalegamy na rozmowę z waszymi rodzicami! Natychmiast!

Gail ruszyła naprzód. Soames dopiero teraz spostrzegł, stojący w pobliżu statku mały trójnóg. Na jego szczycie coś szybko się obracało. Urządzenie musiało zostać przyniesione ze środka tego dziwnego statku. W promieniu stu jardów w każdym kierunku nie było w ogóle czuć wiatru ani zacinającego śniegu. Co więcej, spokojne powietrze było także ciepłe. Było to wręcz trudne do uwierzenia.

– Czy mnie słyszycie? – domagała się odpowiedzi kapitan Moggs. – Dzieci!

Gail przerwała jej, uśmiechając się przyjaźnie do dziewczynek:

– Jestem pewna, że nie rozumiecie słów, jakie wypowiadam, ale czy nie zaprosicie nas w odwiedziny?

Jej ton i sposób mówienia okazały się najwyraźniej znajome dzieciom. Jedna z dwóch dziewczynek uśmiechnęła się i odsunęła się, pozwalając Gail wejść do środka statku. Soames i kapitan Moggs podążali za nią.

Wewnątrz statku było niemal tak samo jasno jak na zewnątrz. Nigdzie jednak nie było widać żadnych świateł. Po prostu było jasno. Część podłogi wygięła się mocno w górę, a i reszta nie była równa, ale pomimo tego pierwszym wrażeniem, rzucającym się w oczy po wejściu do środka, było połączenie elegancji i wytworności. Drugim był rodzaj swoistej prostoty. Narzucało się również trzecie wrażenie. Pośpiech. Statek wydawał się być budowany w tak niesamowitym pośpiechu, że nic nie zostało zrobione tak po prostu dla wykończenia albo ozdoby.

– Chciałabym rozmawiać z rodzicami tych dzieci! – mocnym głosem powiedziała kapitan Moggs. – Nalegam na to!

– Podejrzewam – ponuro stwierdził Soames, – że w społeczeństwie z którego pochodzą te dzieci, właściwym miejscem gdzie powinnaś szukać ich rodziców, jest dom. Zauważ, że na tym statku wszystko jest wykonane w rozmiarach odpowiednich dla dzieci.

Wystarczyło tylko spojrzeć na wielkość drzwi czy krzeseł, aby zrozumieć, że ma rację. Zajrzał przez pogięty otwór wejściowy do zniszczonej części statku. Widać było w niej jakieś maszyny, ale nie zauważył żadnych znajomych elementów takich jak wały, przekładnie, czy przewody zasilające. Domyślał się, że są to maszyny, ale tylko dlatego, że nie mogło to być nic innego. Z boku stało parę pogiętych metalowych skrzyń, z otwartym wiekiem. Chłopcy widać przeciągnęli je do stosunkowo mniej zniszczonej części statku, aby pracować przy pomocy ich zawartości. Dostrzegł jakieś metalowe uzwojenia, i urządzenia, być może

induktory. Czując coś w rodzaju smętnej dumy z siebie, domyślił się, że miało to być jakieś urządzenie komunikacyjne.

Z tyłu stał pulpit z przyciskami. Być może stanowisko sternika, ale prawdę mówiąc nie wyglądało dokładnie na to. Kolejna rzecz, pudełko metalu z przezroczystym plastikowym przodem. W środku dawało się przez niego dostrzec jakieś tajemnicze metalowe kształty. Na jednej ze ścian wisiały dwie kule z jasnego metalu, z otworami o rozmiarach o mniej więcej dostosowanych do dziecięcych dłoni, tak jakby miały służyć do zakładania na ręce.

Przestrzeń mieszkalna statku pomniejszona była nieco przez wciśniętą do niej dużą dwustopową spiralę, wykonaną z precyzyjnie obrobionego metalu. Funkcji tych wszystkich urządzeń i przedmiotów, nawet nie za bardzo był w stanie się domyślić. Nieoczekiwanie dla samego siebie, poczuł się lekko dotknięty widokiem tych wszystkich urządzeń będących wytworami tak rozwiniętej nauki, że nawet nie mógł domyślić się, do czego one służyły.

Ale obcy? Wyglądali na chłopców. To ewidentnie były ludzkie dzieci. Nie było w nich absolutnie niczego dziwnego. Ich włosy, ich oczy i rzęsy były zupełnie normalne. Ich nosy. Ich wargi. Ich zęby. Pod każdym względem byli tak samo ludźmi, jak on czy Gail.

Skupił się na najpilniejszym w tej chwili problemie. Zanim zrobi cokolwiek innego, musiał udokumentować wszystko na zdjęciach.

Jeden z chłopców podszedł do pogiętej metalowej skrzynki. Zaczął układać jej zawartość, tak jakby skończył jakąś pracę. Soames domyślił się, że coś zostało uszkodzone podczas lądowania i teraz dokonali jakichś napraw.

Drugi chłopiec dotknął łokcia Soamesa i pokazał mu pudełko z przezroczystym plastikowym przodem. Dotknął go, i w plastiku ukazał się jakiś obraz. Był to podgląd na teren na zewnątrz statku. Przesunął pudełko i również obraz pomknął w bok. Chłopiec dotknął innego przycisku. Krajobraz popłynął szybko w kierunku oglądającego. Bardzo szybko. W pewnej chwili wydawało się, że powierzchnia ziemi zapada się, i Soames stwierdził, że przygląda się obrazowi, na którym widać połać lodu, niebo i – bardzo daleko – ciemnoniebieską linię morza, które znajdowało się w odległości stu mil od nich.

Chłopiec pokiwał głową i dokonał delikatnych korekt ustawień. Soames mógł obejrzeć panoramę bazy w Zatoce Gissell, z której on i jego towarzyszki wyruszyli kilka godzin wcześniej. Obraz był niesamowicie ostry. Soames mógł nawet dostrzec samolot dostawczy, stojący na pasie startowym, czekając na wyznaczoną godzinę odlotu. Stwierdził z zadumą, że pudełko nie było co prawda radarem, wykonywało jednak wszystkie jego funkcje i jeszcze tyle dodatkowych, że należało wymyślić dla niego zupełnie nową nazwę.

Wtedy Gail powiedziała:

– Brad! Spójrz na to!

Wyciągnęła dwa naszyjniki, które dały jej dziewczynki. Pokazała mu ozdoby wiszące na ich końcu. Jedną z nich był malutki koń. Wykonany został pięknie, i widać było, że z natury. Miał nieco większą głowę, niż mają zwykłe konie i dziwnie delikatną budowę ciała. Każda z jego małych nóg zakończona była trzema palcami.

Gail obserwowała twarz Soamesa.

– Widzisz? I co ty na to?

Ozdobą znajdującą się na drugim z naszyjników była mała metalowa ryba. Miała płetwy i ogon, ale pozbawiona była łusek. Zamiast tego, jej ciało chronione było przez kostny pancerz. Była to ryba z grupy ganoidów, do której należy jesiotr. Nie był to jednak jesiotr, chociaż jesiotry są obecnie niemal jedynymi reprezentantami, kiedyś niemal niezliczonych gatunków ganoidów.

Soames pokręcił z niedowierzaniem głową, z następnie zwrócił się do Gail i kapitan Moggs.

– Statek został zbudowany tak, by mogły nim latać dzieci, chociaż nie za bardzo mogę zrozumieć dlaczego. Ale na pierwszy rzut oka, nie ma tu niczego podobnego do broni. Idę nawiązać kontakt z bazą, zanim podniosą alarm.

Przesłał raport, który brzmiał mniej więcej tak, że miał jakiś drobny kłopot z helikopterem i wylądował. Nie za bardzo zgadzało się to z jego ostatnią rozmową z bazą, w której z uporem mówił o ostrożności, ale na to, w tej chwili, nic nie dało się poradzić. Nie mógł przekazać więcej, ponieważ inne bazy pracowały na tej samej długości fali. Powiedział więc tylko, że odezwie się później. Zamierzał wezwać pomoc – aby rozwiązać problem dzieci – ale musiał trochę odczekać, tak by wyglądało na to, że potrzebuje pomocy, aby ponownie podnieść śmigłowiec z ziemi.

Wewnętrznie jednak czuł się mocno roztrzęsiony. Obserwacje radarowe, zakłócenia, trzęsienie ziemi i fala uderzeniowa poprzedniej nocy, wszystko to były wydarzenia i tak już dostatecznie nieprawdopodobne. Ale to co się dzieje obecnie, jest jeszcze bardziej niewiarygodne. Statek dzieci musiał pojawić się pośrodku tych wszystkich nieprawdopodobnych zjawisk. Nic więc dziwnego, że się rozbił pod naporem takich gwałtownych zdarzeń. Pytanie jednak brzmi: skąd przybył i po co?

Dzieci były co prawda ludźmi, ale także przedstawicielami społeczności, przy której kultura obecnie panująca na Ziemi, mogła zostać uznana za barbarzyńską. To nie mogła być cywilizacja ziemska. Na planecie, na której ludzie od tysięcy lat zabijali się nawzajem w brutalnych wojnach, a teraz byli gotowi do tego, by zniszczyć się całkowicie w wojnie ostatecznej, nie było możliwości, aby taka cywilizacja istniała potajemnie. A jeśli nie z Ziemi, to skąd?

Soames stał koło helikoptera, z oszołomieniem wpatrując się w statek. Wyszli z niego dwaj chłopcy. Poszli szybko do zniszczonej części statku i podnieśli metalową belkę dokładnie pasującą do tej, która absurdalnie sterczała miejscu gdzie została wbita w powierzchnię lodu. Patrząc na swobodę ich ruchów, ocenił że nie mogła być ona zbyt ciężka. Skoro była taka lekka, musiała być pewnie zrobiona z aluminium lub magnezu. Przypuszczalnie jakiś stop magnezu.

Jeden z chłopców przytrzymał to pionowo przy nachylonej belce. Drugi wyjął jakiś mały przedmiot, którego Soames nie mógł dostrzec. Nachylił się nad lodem i przesunął ręką w tą i z powrotem. Nowa belka została zatopiona w lodzie. Przekrzywili ją tak, by zetknęła się z ustawioną już wcześniej. Przez chwilę przytrzymali mocno belkę w tej pozycji. Następnie poszli z powrotem do rozbitego statku. Druga belka stała solidnie umocowana, tak jak pierwsza.

Soames poszedł, by się przyjrzeć bliżej. Metalowa belka została wbita głęboko w lód, który jakoś nie oziębiał znajdującego się nad nim powietrza.

Usłyszał z boku słaby odgłos. Jeden z chłopców, ten w brązowej, podobnej do tuniki, koszuli, zdzierał coś z poszycia rozbitego statku. Poszycie rozrywało się jak mokry papier. Soames patrzył na to, z czymś w rodzaju obojętnej mieszaniny wiary i niedowierzania. Cala sekcja poszycia została oderwana bez najmniejszego trudu. Chłopiec w brązowej tunice energicznie odciągnął zerwany płat od elementu wzmacniającego i miał już trzecią metalową belkę. Niezależnie od tego, jakiego użył urządzenia, przecinało ono metal tak, jakby było to masło.

Obaj chłopcy przynieśli trzecią belkę do innych, opierając ją tak, by utworzyć trójnóg. Trzeci kawał metalu był jednak nieco skrzywiony. Położyli więc go i chłopiec w brązowej

tunice praktycznie ścinał plastry metalu, usuwając skrzywiony fragment, a następnie spoili resztę metalu w jedną całość. Ponownie unieśli naprawioną belkę, jeden z chłopców przesunął ręką nad lodem i zatopili ją w nim. Przez moment przytrzymali i poszli do statku.

Soames, ciągle oszołomiony, podszedł aby zobaczyć co się stało. Podniósł skrawki ściętego metalu. Kawałki te mocno go zaintrygowały. Nie wyglądały na obcięte. Miały jasną, lustrzaną powierzchnię, tak jakby zostały stopione. Nie widział jednak wcześniej żadnego płomienia…

Chłopcy pojawili się ponownie z pogiętą skrzynką, która jak domyślał się Soames, była jakiegoś rodzaju urządzeniem komunikacyjnym. Zanieśli to do nowego trójnoga. Jeden z nich niósł także, skomplikowaną konstrukcję z małych prętów, która mogła być anteną. Soames jednak nie domyślał się jakiego typu fale mogła by ona emitować.

Od strony helikoptera podeszła do niego kapitan Moggs.

– Wezwałam pomoc z bazy – oznajmiła. – Dwa pojazdy śnieżne wyruszą tutaj w ciągu godziny. Drugi helikopter został właśnie wezwany na wysunięty posterunek obserwacyjny. Wyślą go do nas, zaraz jak tylko przyleci z powrotem.

Soames zastanawiał się tylko, jak bardzo była niedyskretna, podczas swojej rozmowy przez krótkofalówkę. Mogła ona przecież zostać przechwycona przez bazę z każdego innego kraju, w której zatroszczono się o tak trywialną rzecz jak prowadzenie nasłuchu radiowego. Jednak akurat w tym momencie, ze statku wyszła Gail.

– Brad – spytała z niepokojem, – co robią chłopcy?

Soames wiedział to aż nadto dobrze. Jeżeli pogięta skrzynka zawiera komunikator, wykorzystujący tak skomplikowaną antenę, jak ta co leżała obok gotowa do użycia, to na zadane przed chwilą pytanie mogła być tylko jedna odpowiedź. A on, biorąc pod uwagę wszystkie możliwości, mógł zrobić tylko jedną rzecz.

– Rozbili się i siedzą we wraku. Przygotowują coś, co pozwoli im wysłać sygnał z prośbą o pomoc. Wylądowali na planecie dosyć prymitywnych barbarzyńców i chcą kogoś wezwać, aby przybył im na pomoc i zabrał ich stąd.

– Nie możemy im na to pozwolić! – mocno powiedziała kapitan Moggs. – Statek musi zostać przebadany! W naszym współczesnym świecie, przy sytuacji militarnej, jaką mamy obecnie…

Soames spoglądał na nią ironicznym wzrokiem.

W rękach trzymał kawałki metalu, te same które wcześniej podniósł, aby je przebadać, mniej więcej tak jak jakiś dzikus mógłby próbować przebadać zwykłe opiłki. Były to nitkowate ścinki metalu z jednej z belek. Zwinął je w kulkę i położył na rękawie. Pstryknął zapalniczką do papierosów. Przystawił ogień do metalowego włókna. Wybuchło silnym płomieniem, osmalając cały rękaw.

– Głównie magnez – powiedział strącając na ziemię płonący kłębek metalu. – Możliwe, że oni nie traktują ognia, jako niebezpieczeństwa. Być może już go w ogóle nie używają. My przecież obecnie także nie oświetlamy naszych domów otwartym płomieniem. Być może więc oni już w ogóle zrezygnowali z jego użycia. Ale jestem dzikusem. Ja to robię.

Posortował kawałki srebrzystego metalu. Inny skrawek miał przekrój podobny do drutu. Spostrzegł chłopca w zielonej tunice, rozkładającego coś na śniegu, od statku do trójnoga.

– Przewód energetyczny – powiedział przerażony. – Muszą wysłać sygnał, nie wiadomo na jak dużą odległość, nie wiadomo z jaką mocą. I używają do tego przewodów energetycznych o grubości nici do szycia! Ale oczywiście ludzie, którzy zbudowali taki statek

muszą znać technologie nadprzewodnikowe! – Dodał jeszcze: – Być może popełnię samobójstwo, ale myślę, że powinienem, chyba…

Ruszył do przodu. Miał kompletnie suche gardło. Zapalił ponownie trzymaną w ręku zapalniczkę i przytknął płomień do drugiego zrzynka metalowej nici. Zapalił się. Odrzucił cały kawałek, tak jak to się robi z łatwopalnymi mieszankami przy rozpalaniu ognia. W powietrzu zamienił się on w kulę dzikiego białego żaru, która lecąc stawała się coraz większa i coraz gwałtowniej płonęła. Kiedy upadła na pogiętą skrzynkę, którą położyli chłopcy, miała już prawie jard średnicy.

Skrzynka także wybuchła ogniem. Zajął się również nowo zbudowany trójnóg. Płomienie buchały w górę na trzydzieści stóp. Soamesa także nieźle przypiekło, a jaskrawy blask niemal zupełnie go oślepił. Po chwili ogień szybko wygasł i tylko drobne śnieżnobiałe cząsteczki popiołu, powoli opadały wszystkim na ręce.

Chłopiec w brązowej tunice krzyknął z wściekłością. Wyciągnął rękę, trzymając w niej tę rzecz, która cięła lśniący metal.

Soames ponuro stanął przed czternastolatkiem. Twarz chłopca wykrzywiał dziki grymas. Było w nim coś więcej niż gniew. Chłopiec w zielonej tunice ściskał i rozprostowywał dłonie. Na jego twarzy widać było najszczersze przerażenie. Jedna z dziewcząt szlochała. Druga mówiła coś tonem tak wielkiej rozpaczy i tak dotkliwego smutku, że Soames był prawie zawstydzony swoim czynem.

Po chwili chłopiec w brązowej tunice powiedział coś bardzo, bardzo gorzkiego, dziewczynie, której wcześniejsze słowa najwyraźniej musiały go powstrzymywać. Odwrócił się od Soamesa i ruszył do statku, lekko się potykając.

Całe nastawienie trójki pozostałych dzieci zmieniło się zupełnie. Wcześniej były spokojne, pewne siebie, a nawet pełne entuzjazmu. Zachowywały się tak jak gdyby wypadek ich statku był raczej przygodą niż katastrofą. Teraz jednak wyglądały na wręcz zdruzgotane klęską, jaka je spotkała. Najpierw jedna z dziewcząt, potem drugi chłopiec i za nimi druga dziewczynka, schowały się zrozpaczone na statku.

Soames spoglądał na Gail. Chłopiec w brązowej tunice już skierował w jego stronę przedmiot, którym ciął na pół metalowe płyty. Został powstrzymany, najprawdopodobniej przez pełne smutku słowa dziewczynki. Soames był głęboko przeświadczony, że chłopiec mógłby bez trudu go zabić. Miał jednak równie silne przeświadczenie, że to i tak byłoby bardzo niska cena, i gotów był ją zapłacić, za powstrzymanie reszty rasy tych dzieci od poszukiwań Ziemi.

– Przypuszczam – powiedziała Gail, – że czujesz się raczej kiepsko.

– Jestem dzikusem. Zniszczyłem ich urządzenie sygnalizacyjne. Być może dzięki temu powstrzymałem ich cywilizację od zniszczenia naszej. Czuję się jak morderca – odparł jej ponuro. – I to do tego morderca dzieci. Przy odrobinie szczęścia, być może dzięki mnie okaże się, że nigdy więcej nie zobaczą już swoich rodzin.

Po dłuższym czasie Gail stwierdziła, z pozbawioną humoru próbą dowcipu:

– Czy zdajesz sobie sprawę, że to jest największa historia dziennikarska, jaka kiedykolwiek się wydarzyła? I wiesz, że nikt, zupełnie nikt w nią nie uwierzy?

– To jest – mocno oświadczyła kapitan Moggs, – sprawa o tak dużym znaczeniu militarnym, że nikomu, zupełnie nic, nie można o niej powiedzieć! Niczego!

Soames nie skomentował w żaden sposób jej słów, ale nie spodziewał się raczej, aby sprawę dało się utrzymać w sekrecie.

Czekali. Dzieci pozostawały na statku.

Pokazały się znowu, dopiero po bardzo długim czasie. Twarze dziewcząt były poznaczone śladami łez. Wszyscy przynieśli ze sobą drobne rzeczy osobiste i umieścili je starannie na śniegu. Wrócili po kolejne.

– Przypuszczalnie – powiedział Soames, – ten ich super-radar pokazał im helikopter lecący w naszym kierunku. Wiedzą, że nie mogą tutaj pozostać. Spowodowałem, że ich odnalezienie stało się niemożliwe. Będą wic musiały pogodzić się z tym, że zostaną stąd zabrane, i chcą zatrzymać te rzeczy przy sobie.

Wynoszenie na zewnątrz drobnych przedmiotów zostało zakończone. Chłopiec w brązowej tunice wszedł z powrotem na statek.

Kiedy pojawił się znowu, powiedział coś najbardziej gorzkim z gorzkich głosów. Dziewczęta odwróciły się plecami do statku. Dziewczynka z brązowymi oczyma zaczęła płakać. Chłopiec w zielonej tunice przesunął mały trójnóg w nowe miejsce. W czasie kiedy go przenosił, ruchy i temperatura powietrza znacząco się zmieniały. Przez chwilę czuli potężne porywy lodowatego wiatru, następnie ciepły spokój i kolejny poryw. Kiedy jednak postawił trójnóg na miejscu, znowu zapanował spokój.

Soames w oddali usłyszał furkotanie innego helikoptera.

Chłopiec w zielonej tunice wyciągnął rękę. Trzymał w niej jakiś błyszczący mały przedmiot. Z odległości pięćdziesięciu stóp, zamiótł ręką od jednego do drugiego końca rozbitego statku. Buchnął w górę potężny płomień. Stop magnezowy, z którego zbudowany był statek, zapłonął z siłą, która kłuła i oślepiała oczy. Monstrualny, kolosalny palący błysk strzelił w górę, wzbił się wysoko ... i zgasł. Soames zbyt późno zaczął szperać rękoma w poszukiwaniu swojego aparatu fotograficznego. Na lodzie nie było już rozbitego statku. Pozostało tylko kilka okopconych, parujących szczątków

Kiedy drugi helikopter wylądował obok pierwszego, czwórka dzieci czekała spokojnie na to, aż zostaną zabrane.

Rozdział 3

A na świecie, sprawy szły dalej, takim tokiem jak zawsze. Liczba kryzysów międzynarodowych nie odbiegała od przeciętnej. Współczesna dyplomacja preferowała zazwyczaj szantaż pod groźbą wojny atomowej.

Naturalnie, nawet Antarktyka mogła zostać wykorzystana do stworzenia zamieszania. Ludność kontynentu ograniczała się do załóg stacji badawczych założonych podczas Międzynarodowego Roku Geofizycznego. Teoretycznie bazy były obiektami naukowymi współpracującymi dla szczytnych celów, dzięki którym na całym świecie powinien rozprzestrzeniać się wspaniały duch wzajemnego zaufania i pojednania, prowadząc pewnego dnia do ery błogiego i pozbawionego podejrzliwości pokoju.

Niestety ten wspaniały czas jeszcze nie nadszedł.

A przecież wszyscy musieli zauważyć ten wybuch zakłóceń o bezprecedensowej mocy.

Objęły one cały glob, na wszystkich długościach fal, wszędzie do maksymalnej mocy sygnału. Miały moc miliony razy większą niż jakikolwiek sygnał odbierany wcześniej.

Żadna bomba atomowa nie byłaby w stanie spowodować takich efektów. Nauka i rządy, wspólnie postawiły sobie trzy bardzo pilne pytania. Kto to zrobił? Jak to zrobił? I dlaczego to zrobił?

Każdy z ważniejszych krajów podejrzewał pozostałe. Badania naukowe stały się najpilniejszą sprawą w każdym państwie, i należało się obawiać, że mogą stać się końcem ich wszystkich.

Jednak w samej Zatoce Gissell, gdzie furkocząc przyleciały i wylądowały oba helikoptery, na razie o tym nie myślano. Gail, Soames i kapitan Moggs wybiegli z maszyn, niosąc dziewczynki i chłopców na rękach, tak by jak najszybciej zabrać je z lodowatego zimna.

Wokół dzieci natychmiast zebrała się cała załoga. Wszyscy starali się je uspokajać. Próbowano znaleźć język, który by także rozumiały. Nie udało się. Potem wsłuchując się w zdania powoli i wyraźnie wypowiadane przez dzieci, próbowano szukać przynajmniej znajomych fragmentów słów. Nie znaleziono niczego. Ale przynajmniej dzieci poczuły, że otoczyli je ludzie, którzy życzą im jak najlepiej.

Fotograf bazy wywołał i zrobił odbitki zdjęć Soamesa. Widoczna była na nich konstrukcja statku, a stojące przed nim dzieci, pozwalały ocenić jego wielkość. zdjęcia wewnątrz pojazdu nie wyszły tak dobrze, były nieostre. Nadal jednak było na tyle dużo dowodów, by w pełni potwierdzić raport Soamesa.

Oprócz zdjęć, przywieźli również rzeczy, które dzieci wybrały, aby ze sobą zabrać. Na przykład naczynie do gotowania. Materiał, z którego je zrobiono przewodził ciepło tylko w jedną stronę. Poprzez jego zewnętrzną powierzchnię ciepło mogło przenikać do środka, ale nie wydostawało się z powrotem. W konsekwencji, kiedy zamknięto wieczko, powierzchnia zewnętrzna naczynia wchłaniała energię cieplną ze znajdującego się wokół powietrza, a powierzchnia wewnętrzna nie przepuszczała jej z powrotem. Znajdująca się w naczyniu

zawartość wrzała więc sobie wesoło, bez żadnego podgrzewania, podczas gdy na zewnątrz pokrywało się ono szronem.

Kilku fizyków biegało wokół naczynia w stanie permanentnego szoku, próbując połapać się w tym, jak to wszystko działa. Inni, z błyszczącymi oczyma, wskazywali, że gdyby w tym naczyniu zamontować rurę, to można by zanurzyć je w rzece lub innej bieżącej wodzie, aby produkowało gorącą parę, ochładzając wodę. Woda odpływałby od niego, odzyskując normalną dla danej rzeki temperaturę, już po pokonaniu kilku mil w słońcu. W takim przypadku, co się stanie z ceną węgla lub ropy naftowej? Prawdę mówiąc jak wycenić energię atomową?

Mały trójnóg stanął na zewnątrz głównego budynku bazy. Natychmiast zaczął się kręcić wirujący element na szczycie i wiatr ustał. Po kilku minutach powietrze przestało szczypać. Po dziesięciu minutach było już ciepłe. Meteorolodzy nie chcieli wierzyć swoim własnym oczom, badając granice spokojnego obszaru. Wracali czerwoni od mrozu, przysięgając, że wokół bazy powstała osiemdziesięciostopniowa różnica temperatur, a za niesamowicie zimnym pasem dokoła niej, dalej robi się wyraźnie cieplej. Trójnóg z wirującym elementem był więc odmiennym zastosowaniem zasady na której działało naczynie do gotowania. Tworzył on w jakiś sposób obszar, do którego ciepło mogło przenikać, ale nie mogło z niego uchodzić, a wiatr nie był w stanie spenetrować jego wnętrza. Gdyby działanie urządzenia dało się jakoś odwrócić, pustynie mogłyby się stać strefami umiarkowanymi. Przy obecnym trybie działania, Arktyka i Antarktyka mogłyby zostać zagospodarowane, i rozkwitnąć. Urządzenie było zewnętrzną pompą cieplną.

Kolejną zabraną przez dzieci rzeczą było pudełko z plastikowym arkuszem. Jeden z chłopców coś z nim robił, w dużym skupieniu. Poproszony otworzył je. W pudełku nie było niczego, poza kilkoma interesująco ukształtowanymi kawałkami metalu. Cała rzecz była zbyt prosta, aby być zrozumiała, jeśli nie znało się zasady na której działała.

Ten sam problem pojawiał się w przypadku w zasadzie każdego przebadanego urządzenia.

To były ważne sprawy. Kapitan Moggs wyraźnie urosła w swoim własnym mniemaniu. Zarekwirowała samolot dostawczy i, pilotowany przez nią osobiście, wystartował on natychmiast do Waszyngtonu z wiadomością o wydarzeniu, którego była świadkiem, odbitkami fotografii Soamesa i próbkami rzeczy należących do dzieci.

W bazie za najpilniejszy uznano problem nawiązania komunikacji z dziećmi. Tak więc Gail zaczęła delikatnie uczyć wyższą dziewczynkę kilku angielskich słów. Wkrótce dziecko potrafiło już niepewnie pozdrowić Soamesa, który zajrzał aby zobaczyć jak postępuje nauka.

– Ma na imię Zani – opowiadała Gail. – Druga dziewczynka, ta z niebieskimi oczyma, nazywa się Mal. Chłopiec w brązowej tunice to Fran, a ten w zielonej ma na imię Hod. Dziewczyna rozumie, że musi nauczyć się nowego języka. Potrafi zapisywać słowa w swoim własnym języku. Była nieco zaskoczona, kiedy wręczyłam jej długopis, ale zrozumiała jak działa, natychmiast jak tylko jej to zademonstrowałam. Oni muszą używać innych narzędzi do pisania.

– Tylko co teraz będzie? Co się stanie z dziećmi? Nie mają żadnych przyjaciół, żadnej rodziny, nikogo, by się troszczył o to, co się z nimi stanie! One są w strasznym kłopocie, Brad!

– Za co ja jestem odpowiedzialny – powiedział ponuro Soames, – i czego obawiałem się już wcześniej.

– Ja też jestem za to odpowiedzialna! – szybko odpowiedziała Gail. – Pomogłam co przecież! Czym się tak martwisz?

– Spalili swój statek – powiedział Soames jeszcze bardziej ponurym tonem. – Dlaczego?

Potrząsnęła głową, widząc jego wyraz twarzy.

– Na początku potraktowali nas jak nieszkodliwych dzikusów – powiedział. – Wtedy zniszczyłem ich jedyną nadzieję na kontakt z rodzinami i przyjaciółmi. Więc jeden z chłopców zniszczył statek. A pozostali wiedzieli wcześniej co chce zrobić, i odpowiednio się do tego przygotowali, zabierając ze statku część rzeczy. Wiesz dlaczego?

– Nie jestem pewna ... – powiedziała Gail.

– Gdybyśmy przechwycili ich statek nietknięty – wyjaśnił jej Soames, – moglibyśmy go przebadać. Albo byśmy zrozumieli jego konstrukcję w stopniu wystarczającym dla zbudowania własnego, albo, jeśli nie bylibyśmy w stanie tego zrobić — jesteśmy przecież dzikusami — moglibyśmy całkowicie sobie odpuścić. W obydwu przypadkach dzieci straciłyby dla nas znaczenie. Po prostu byłyby jedynie rozbitkami. A tak mają nas dokładnie tam gdzie chcą. Podejrzewam że zabrali ze sobą tylko trochę błyskotek, tak by z nami pohandlować. Dokładnie tak samo jak my moglibyśmy zaoferować buszmenom paciorki.

– Powiedzą nam, że jeśli pozwolimy albo pomożemy im wysłać sygnał do rodzin, to ich rodzice uczynią nas wszystkich bogatymi.

Gail zastanawiała się przez chwilę. Potem pokręciła przecząco głową.

– To nie zadziała. Mamy prasę i dzienniki telewizyjne. Ludzie będą zbyt przestraszeni, by na to pozwolić.

– Przestraszeni czworga dzieci? – naciskał Soames.

– Nie rozumiesz jak działają media – odpowiedziała Gail lekko wykrzywiając usta. – One nie utrzymują się z publikowania wiadomości. One drukują „prawdziwe" historie, ciągnąc je bez przerwy. „Prawdziwe" historie kryminalne, ciąg dalszy nastąpi jutro. „Prawdziwe" historie kryzysu międzynarodowego, następny emocjonujący rozdział przeczytaj w jutrzejszej gazecie, albo włącz naszą stację! Właśnie takie rzeczy są drukowane i nadawane, Brad. To jest to, czego ludzie chcą i na co nalegają. Nie rozumiesz jak te dzieci zostaną przedstawione w wiadomościach? „Stworzenia z kosmosu na Antarktydzie! Ziemia Bezradna!" – Jej grymas jeszcze się pogłębił. – Nie będzie żadnego popytu na historie o aspekcie ludzkim sprawy, autorstwa Gail Haynes, mówiące o czwórce ledwie wyrośniętych dzieci, które potrzebują pomocy, aby dostać się z powrotem do swoich rodziców. Publiczność nie kocha takich rzeczy aż tak bardzo.

– Zobaczysz – kontynuowała Gail. – Naprawdę, bardzo się obawiam, Brad, że wkrótce ty i ja będziemy jedynymi ludźmi na świecie, którzy nie będą uważali, że lepiej te dzieci zabić, po prostu dlatego że tak jest bezpieczniej. Zrobiłeś właściwą rzecz dla ludzkości, nie pozwalając im wysłać sygnału do swoich rodzin. Ale naprawdę nie musisz się martwić o to, że te dzieci pozyskają dla siebie zbyt dużo sympatii!

– I to ja do tego wszystkiego doprowadziłem – ponuro stwierdził Soames.

– Zrobiliśmy to razem – nalegała Gail. – I zrobiliśmy właściwą rzecz. Ale zrobię wszystko co będę mogła, by uchronić je przed najgorszym. Jeżeli dołączysz do mnie…

– Naturalnie! – powiedział Soames.

Odszedł wyraźnie zmartwiony. Nie widział wyrazu twarzy Gail, gdy za nim patrzyła. Odwróciła się wolno do dziewczynki, która z nią siedziała.

Soames znalazł pozostałą trójkę dzieci. Stały w środku poruszonej grupy członków załogi bazy, próbujących porozumieć się z nimi słowami i gestami, podczas gdy dzieci próbowały nie okazywać zaniepokojenia ich gwałtownością. Specjalista od promieniowania kosmicznego, wyjaśnił Soamesowi powstały problem. Między rzeczami dzieci był zwój miedzianego drutu o grubości nici. Ktoś odciął z niego kawałek do testowania i odkrył, że drut zrobiony był z nadprzewodnika. Nadprzewodnik to materiał, który nie wykazuje żadnego oporu elektrycznego. Zgodnie z obecnym stanem nauki na Ziemi cyna, rtęć i kilka stopów mogło zostać przekształcone w nadprzewodniki poprzez oziębienie ich do temperatury poniżej 18° Kelwina, albo czterystu kilku stopni Fahrenheita poniżej zera. Powyżej tej temperatury nadprzewodnictwo nie istnieje. Drut dzieci był jednak nadprzewodnikiem w temperaturze pokojowej. Nitką grubości pajęczyny możnaby przesyłać cały prąd produkowany przez Niagarę, a ona nawet by się nie rozgrzała. Potężne prądnice mogłyby zostać zastąpione przez prądnice nadprzewodzące, mieszczące się niemal w kieszeni. Silnik o mocy tysiąca koni, mógłby mieć rozmiary niewiele większe niż wał, którym obracał. To wszystko mogło oznaczać…

– Dajcie im spokój – warknął Soames. – Nie potrafiłyby wam powiedzieć jak to zostało zrobione, nawet gdyby umiały mówić po angielsku. Dajcie im trochę czasu, żeby chociaż nauczyły się rozmawiać w naszym języku! Tym bardziej, że dopiero co przeżyły takie trudne chwile!

Zabrał chłopców i drugą dziewczynkę ze sobą. Zaprowadził ich do własnej kwatery. Zagwizdał na swojego psa, Rexa i pokazał dzieciom jak się nim bawić. Zaczynały powoli się odprężać i cieszyć tą dotychczas im nieznaną zabawą.

Soames wyszedł z kwatery, drapiąc się po głowie. Wokół było tyle spraw, którymi należało się martwić. Na przykład, kapitan Moggs w Waszyngtonie, która poleciała tam, aby przekazać informacje jakby idealnie dobrane do tego, by wzbudzić ogromny zamęt. A i w samej bazie miało miejsce pewne zupełnie naturalne, z pozoru rutynowe wydarzenie, które podniosło panujące zamieszanie do kwadratu.

Dyrektor bazy Zatoki Gissell składał swoje normalne, regularne, krótkookresowe sprawozdanie dla organizacji naukowej, która kontrolowała i nadzorowała działalność bazy oraz finansowała dostawy zapasów i wyposażenia. Dyrektor Zatoki Gissell był znamienitym naukowcem.

Mógł więc swobodnie porozmawiać z innym, jeszcze bardziej wybitnym naukowcem, przebywającym w stolicy Stanów Zjednoczonych. Naturalnie potężny wybuch zakłóceń, był powszechnym tematem gorączkowych dyskusji w Waszyngtonie. Równie naturalnie na tapetę musiało wejść znalezienie rozbitego statku kosmicznego. To była ważna rzecz. Trzeba więc było o tym porozmawiać. A więc porozmawiał. Dyrektor Zatoki Gissell przekazał szczegóły o dzieciach oraz o urządzeniach, które wybrały do ocalenia, kiedy zniszczą swój statek. Ta szczegółowa relacja wyprzedziła kapitan Moggs w drodze do Waszyngtonu, ale nie do wojskowych. Za ten kierunek odpowiedzialna była już ona sama.

Wybitny naukowiec w Waszyngtonie naturalnie przedyskutował relację z innymi naukowcami, którzy naturalnie byli tak samo zainteresowani tym tematem, jak on sam.

Późnym rankiem, jeden z tych naukowców miał umówione spotkanie z reporterem. Dziennikarz zadawał różne rutynowe pytania. Najzupełniej niewinnie naukowiec, który rozmawiał z naukowcem, który rozmawiał z dyrektorem bazy w Zatoce Gisell, opowiedział o całej sprawie reporterowi.

I dlatego, chociaż kapitan Moggs kiedy jechała do Pentagonu nie zauważyła nagłówków gazet, ale zostały one zauważone w Pentagonie.

"**Lądowanie statku kosmicznego w Antarktyce!**
Obce Formy Życia Na Pokładzie
Naukowcy Zaalarmowani."

Żadna gazeta nie popsułaby dobrej historii poprzez pomniejszanie jej znaczenia. Agencje informacyjne także nie traciły czasu. Takie i podobne nagłówki obiegały już całe Stany Zjednoczone.

Należy oczywiście oddać prawdzie, że pierwsze edycje, pierwszych gazet, które wydrukowały tę historię wspominały nawet, że najeźdźcy mieli wygląd podobny do ludzkich dzieci, ale jakoś to brzmiało niezbyt wiarogodnie. Ponadto, inne typy opisów były dużo bardziej ekscytujące. Opis najeźdźców jako dzieci został sklasyfikowany jako przypuszczenie. Następnie jako błędne przypuszczenie. Potem jako coś tak niedorzecznego, że w ogóle nie warto było o tym mówić. W każdym razie, przecież sedno całej historii i tak polegało na tym, że na Antarktydzie wylądował statek spoza Ziemi, ze znajdującymi się w nim inteligentnymi istotami, oraz że był wyposażony w cudowne urządzenia. I cudowne urządzenia naturalnie musiały być — w obecnym stanie rzeczy panującym na świecie, w obecnym czasie — musiały być uzbrojeniem. Kolejni ludzie przepisujący doniesienia agencji informacyjnych interpretowali je i twórczo rozwijali, zgodnie z brzmieniem klasycznej zasady biznesowej mówiącej, że ludzie muszą dostać to czego chcą. A ludzie lubią być straszeni.

W Pentagonie kapitan Moggs powitał generał porucznik.

– Czy to wszystko, to prawda? – natychmiast zażądał wyjaśnień. – Czy wylądował statek spoza Ziemi? Czy była na nim załoga? Czy załoga ciągle żyje? Cholera jasna! Jakie mają uzbrojenie?

Kapitan Moggs jąkała się mocno, ale jakoś zdołała odpowiedzieć na pytania. Nie stwarzały one wrażenia, raportu z przeprowadzonego we właściwy sposób kompletnego dochodzenia w sprawie lądowania obcego statku kosmicznego. Szczególnie, jej stwierdzenie, że załogę statku stanowiły ludzkie dzieci, po prostu nie zostało przyjęte do wiadomości.

– Ha! – ostro powiedział generał porucznik. – Nic nie może wydostać się na zewnątrz. Pani, kapitan jakiekolwiek - tam - jest - pani - nazwisko, mówi pani że była tam kiedy statek został odnaleziony. Bardzo dobrze. Proszę trzymać gębę na kłódkę. Niech pani bierze samolot i natychmiast wraca na miejsce.

Następnie zwrócił się do swoich ludzi:

– Przywieźć wszystkie rzeczy, rzeczy jakie zabrali ze swojego statku. Zebrać niedopalone resztki samego statku. Niech nasi ludzie od rakiet sterowanych zabiorą się nad nimi do pracy i dowiedzą się jak zostały zrobione. Powinni do czegoś dojść! Wziąć też do przebadania tych szczątków, ludzi od broni specjalnych. Zobaczymy, co oni tam mają! Dopóki nie otrzymamy próbek, pracować nad tymi zdjęciami. – Odwrócił się z powrotem do kapitan Moggs. – Pani wraca z powrotem i proszę przywieźć tych obcych i wszystko co się da zabrać! Proszę przywieźć wszystko! A tymczasem – rozejrzał się wokoło swojego biura, – to idzie pod przykrycie! Ściśle tajne — ściśle ściśle tajne! Gazety muszą zostać uciszone. Zaprzeczyć wszystkiemu!

Odprawił ją machnięciem ręką. Wyszła z biura.

Jej samolot doleciał zaledwie na południe Wirginii kiedy przedstawiciel Pentagonu zapewnił na konferencji prasowej, że Departament Obrony nie miał żadnej informacji o lądowaniu rzeczonego poza-ziemskiego statku kosmicznego w Antarktyce. Dziennikarze wyciągnęli ze swoich kieszeni gazety. Pentagon, zgodnie z rozkazami, na prawo i lewo zaprzeczał doniesieniom. Teraz gazety wydrukowały więc informacje z rejestrów Organizacji Narodów Zjednoczonych, podając, że na żądanie Departamentu Obrony wydane zostały cztery paszporty Organizacji Narodów Zjednoczonych. Rejestry głosiły, że paszporty miały być dla Jane i Johna Doe oraz Ruth i Richarda Roe, którzy oczywiście nie mogliby wjechać do Stanów Zjednoczonych bez właściwych dokumentów. Informacja przekazana ONZ o tych osobach wyglądała następująco: miejsce urodzenia, nieznane; narodowość, nieznana; wiek, nieznany; opis, nie podany; rasa, nieznana; zawód, nieznany. Teraz więc wszystkie nagłówki gazet donosiły: „ZAŁOGA STATKU KOSMICZNEGO W GRANICACH USA". Albo:

"Zaprowadźcie Nas Do Waszego Prezydenta"— mówią Obcy
Załoga Statku Kosmicznego Żąda Konferencji na Najwyższym Szczeblu
Ukryte Ultimatum

Nie było to, oczywiście, wyłącznie amerykańskie wydarzenie. Londyński *Times* wskazywał na niebywałą liczbę krążących spekulacji podających szczegółowe informacje, porównując to z bardzo niewielką liczbą potwierdzonych faktów. Natomiast gdzie indziej: *Prawda* twierdziła, że obcy odmówili rozpoczęcia rozmów z Ameryką, po zapoznaniu się z jej kapitalistycznym systemem społecznym i despotycznym rządem. *Le Soir* podawał poufną informację uzyskaną na zasadach wyłączności, że załogę statku kosmicznego — który miał tysiąc dwieście metrów długości — stanowiły uskrzydlone potwory o odpychającym wyglądzie. Oficjalna gazeta w Bukareszcie, do odmiany, twierdziła, że oni byli inteligentnymi gadami. W Kairze z kolei uwierzono i wydrukowano, że statek kosmiczny został obsadzony przez stworzenia o gazowej strukturze, bardzo przypominające legendarne dżiny.

Były również i inne opisy, wszystkie przypisujące obcym różnorodne monstrualne cechy oraz brutalne i agresywne działania.

A w Zatoce Gissell załoga bazy żywiła w stosunku do czwórki młodych ludzi, o imionach Zani, Fran, Hod i Mal, raczej coraz cieplejsze uczucia, ponieważ były to generalnie bardzo dobrze wychowane i bardzo miłe dzieciaki.

Dzieci były spięte, rozpaczliwie zaniepokojone i niełatwe w kontakcie. Okazały jednak rezolutną odwagę, która sprawiła, że w sumie dosyć przyzwoici ludzie, stanowiący załogę bazy, bardzo ich polubili. Większość personelu badawczego rozpaczliwie chciała zadać im olbrzymią liczbę pytań, ale ponieważ było to niemożliwe, musieli w zamian studiować rozmyte zdjęcia wnętrz statku — fotograf bazy przygotował kilka kompletów dodatkowych odbitek — albo bez większej nadziei grzebać w rzeczach, które dzieci zabrały ze sobą i łamać siebie głowy, próbując wymyślić, jak tego typu rzeczy w ogóle mogą działać. Obrotowy przedmiot na trójnogu, wytworzył na dworze wokół bazy w Zatoce Gissell całkiem przyjemną atmosferę, chociaż w odległości dwustu jardów od urządzenia, które ustawił Hod, wiały czterdziestomilowe wiatry, a termometry rejestrowały dziesiątki stopni poniżej zera. Naczynie do gotowania podgrzewało zawartość bez żadnego paliwa, obrastając na zewnątrz coraz grubszą warstwą szronu. Urządzenie, które Soames nazwał super-radarem, pozwalało na obserwację kolonii pingwinów, umożliwiając obejrzenie najmniejszych nawet szczegółów,

bez zakłócania spokoju ptaków, a Fran usłużnie pożyczył swój kieszonkowy przyrząd — ten, które ciął metal jak masło — fizykom wchodzącym w skład załogi bazy.

Musiał jednak pokazać im jak go się używa. Był to płaskie metalowe pudełko o wielkości kieszonkowej zapalniczki do papierosów. Wystawały z niego dwie proste dźwignie sterujące jego pracą, i miało wbudowane bardzo pomysłowe zabezpieczenie, chroniące przed przypadkowym skierowaniem go na samego siebie.

Zgodnie z panującym trendem, to znowu było wykorzystanie koncepcji pompy cieplnej. Jedna dźwignia włączała urządzenie, oraz intensyfikowała lub osłabiała siłę jego działania. Druga, sterowała obszarem na którym działało. W dowolnym materiale, z wyjątkiem żelaza, urządzenie powodowało przepływ ciepła i jego koncentrację w centrum pola rzutowanego przez odpowiedni emiter. Po zbliżeniu małego narzędzia do metalowego słupka, ciepło z obu jego końców spływało do środka, dokładnie w miejsce, w które wycelowane było urządzenie. Punkt ten rozgrzewał się do wysokiej temperatury. Reszta natomiast robiła się odpowiednio bardzo zimna. W ciągu kilku minut słupek z brązu rozgrzewał się do czerwoności wzdłuż linii o grubości setnych cala. Potem topił się, a warstwa o grubości kartki papieru stawała się płynna, tak więc aby rozdzielić słupek na części, wystarczyło go przełamać, albo rozsunąć oba fragmenty na bok. Trzeba było jednak trzymać słupek w grubych rękawiczkach, ponieważ jeśli nie było się ostrożnym, mogło z niego skapnąć skroplone powietrze. I urządzenie nie działało w przypadku żelaza albo stali.

Soames zabrał Fran z Malem i Hodem, do zaimprowizowanej klasy, gdzie Gail pracowała nad tym, by Zani poznała minimalny zakres słownictwa z języka angielskiego. Razem z nimi pobiegł szczęśliwy Rex.

Zani powitała psa z zachwytem. Upadła razem z nim na podłogę i z rozpromienioną twarzą, siłowała się ze zwierzęciem.

Soames otworzył usta ze zdziwienia. Pozostałe dzieci nie wiedziały, że w ogóle było coś takiego jak pies. Musiały się dopiero uczyć, jak można się bawić z Rexem. Zani jednak od razu wiedziała wszystko o psach i o tym jak się z nimi bawić.

– Mam nadzieję – powiedziała Gail, nie zauważając zdziwienia Soamesa, – że Zani pomoże mi nauczyć pozostałe dzieci paru słów.

Ale jeden z chłopców, Hod, podniósł długopis, którym Zani nauczyła się posługiwać od Gail. Nie trzeba było mu niczego wyjaśniać. Nie oglądając się na nic, zaczął pisać. Chwilę później przeczytał powoli i niezdarnie, zapisane przez siebie przy pomocy tajemniczych znaków, angielskie słowa, których Gail nauczyła Zani. Fran i Mal przyłączyły się do niego. Starannie ćwiczyli wymowę słów, których Gail nauczyła Zani, ale przecież nie ich.

To było kolejne odkrycie, które nie miało sensu.

Rozdział 4

Kapitan Moggs natychmiast po wylądowaniu udała się do głównego budynku bazy. Dzieci właśnie bawiły się z Rexem.

– Dzieci – oznajmiła władczym tonem. – Idźcie do siebie i spakujcie się. Wracamy do Stanów Zjednoczonych.

Dziewczynka, Mal, wydawała się rozumieć jej słowa i odwróciła się, aby przekazać je innym.

Kapitan Moggs natknęła się na Soamesa gorączkowo pakującego rzeczy, które dzieci zabrały ze statku przed spaleniem go przez Frana — chłopca w brązowej tunice. Z aprobatą stwierdziła:

– Widzę, że przewidujecie moje rozkazy! Uznałam jednak, że przekazanie ich panu przez radio na długości fali na której działają wszystkie bazy, byłoby nierozsądne.

Soames odparł szorstko:

– Nie mam pojęcia o żadnych twoich rozkazach. Teraz właśnie tankują twój samolot. W ciągu piętnastu minut musimy być z Gail i dziećmi w powietrzu. Musimy ich stad zabrać. Będziemy mieli towarzystwo.

– Niemożliwe! – powiedziała kapitan Moggs. – Mam rozkazy z najwyższego szczebla, żeby wyciszyć tę całą sprawę. Mamy zaprzeczyć nawet istnieniu tych dzieci. Wszyscy mają wszystkiemu zaprzeczyć. Wizyta gości jest absolutnie niedopuszczalna! To jest zupełnie nie do pomyślenia!

Soames uśmiechnął się z rozbawieniem.

– Minęło już sześć godzin, odkąd Francuzi zapytali, czy mogą pojawić się u nas z towarzyską wizytą. Zbyliśmy ich. Anglicy zasugerowali, konferencję na temat tego nadzwyczajnego wybuchu zakłóceń poprzedniej nocy. Też ich zbyliśmy. Ale teraz jakąś godzinę temu Rosjanie rozpętali naprawdę aferę. Nadali wezwanie S.O.S. Jeden z ich samolotów ma kłopoty z silnikiem. Nie może wrócić do bazy. Eskortowany przez inny samolot, kieruje się w naszą stronę aby dokonać lądowania awaryjnego. Czy możesz wyobrazić sobie co się stanie, jeśli odmówimy pozwolenia na lądowanie dla samolotu który ma kłopoty?

– Nie wierzę, że naprawdę ma kłopoty! – gniewnie powiedziała kapitan Moggs.

– No cóż, prawdę mówiąc, ja również – zgodził się Soames.

Spróbował zawinąć z jednej strony paczkę.

– Musieli dostać rozkazy, żeby zacząć działać – powiedział zimno. – I nie wiemy jakie są te rozkazy. Zanim zorientowaliśmy się, że ty będziesz tu pierwsza, przygotowywaliśmy się do zabrania stąd dzieci w łaziku śnieżnym. Gdybyśmy trzymali się sypkiego śniegu, żaden samolot nie mógłby wylądować w pobliżu nas. Wszystko jest możliwe, a potem tylko by oznajmili, że dzieci poprosiły o ochronę przed dekadenckimi, podżegającymi do wojny Amerykanami. Z pewnością będą dostatecznie dobrze wyposażeni, aby nas wszystkich wystrzelać. My nie jesteśmy.

Jeden ze specjalistów z bazy pojawił się, by pomóc Soamesowi przenieść paczki do transportowca.

Później przyszła Gail, ciepło opatulona na drogę. Koło niej stały podobnie ubrane Fran i Zani. Trzymały w rękach ubrania dla pozostałych.

Kapitan Moggs pobiegła do pomieszczenia łączności, aby domagać nawiązania połączenia radiowego z Waszyngtonem. Radio jednak było zajęte. Francuzi, po tym jak wcześniej, kiedy sugerowali swoją wizytę, zostali odprawieni z kwitkiem, teraz pośpiesznie byli zapraszani by natychmiast zajrzeć. Podobnie odstawieni na bok Anglicy, teraz zostali zaproszeni, by wpaść na herbatkę. W czasie gdy kapitan Moggs pieniła się ze złości, radio było zajęte organizacją konferencji na szeroką skalę, odnośnie wspólnych problemów w prowadzonych obserwacjach, oraz seminarium dotyczącego ogólnie antarktycznych badań naukowych. Miał być to wspaniały przykład serdecznej współpracy między grupami naukowców o różnych narodowościach. Inicjatywa ta stanowić powinna wzór dla reszty świata. Ale ci z członków załogi, którzy musieli zaaranżować całe to pośpieszne zgromadzenie niezbyt mile widzianych gości, którzy mogli sprawić poważne kłopoty, byli bardzo nieuprzejmie nastawieni do ludzi, którzy próbują jeszcze coś na nich wymóc, poza przygotowaniami do tego by być bardzo uprzejmym. Godny odnotowania był jeszcze fakt, że ta niewielka liczba egzemplarzy broni sportowej, jaka znalazła się w bazie, trafiła do tych, którzy w razie potrzeby, byli w stanie jej najskuteczniej użyć.

Zbiorniki paliwa transportowca, zostały zatankowane do pełna. Pozostała dwójka dzieci zmagała się w biegu z kolejnymi częściami garderoby. Chłopiec, Hod złożył mały trójnóg z wirującym urządzeniem na szczycie. Natychmiast obszar wokół głównego budynku bazy stał się przeraźliwie zimny. Dzieci, idąc za przykładem Gail, weszły do transportowca.

Soames, przeklinając w duchu, wchodził do niego chwilę później, razem z nieustannie zrzędzącą kapitan Moggs. Nie podobał mu się pomysł opuszczenia bazy, w sytuacji gdy zostawiał za sobą tak poważne kłopoty. Prawdę mówiąc jednak, właśnie wyjazd jego oraz pozostałych osób obecnych na miejscu katastrofy statku, powinien te kłopoty zlikwidować.

Była to jedyna w miarę racjonalna rzecz, którą można było zrobić.

Reprezentanci innych państw mieli wylądować w amerykańskiej bazie, i przekonać się, że nie ukrywano w niej żadnych istot pozaziemskich, ani że w okolicy nie było żadnego śladu jakiekolwiek statku kosmicznego. A w dodatku sama konferencja naukowa, która była efektem tego planu, powinna przynieść wiele dobrego. Nadzwyczajny wybuch z zakłóceń zostanie przedyskutowany, bez żadnych wniosków i konkluzji na ten temat. A ponadto Amerykanie powinni być w stanie wraz z innymi bazami do wypracowania pewnego porozumienia odnośnie metod obserwacji, tak by obserwacje w przyszłości mogły przynosić nieco więcej informacji, niż to było obecnie.

Gail zajmowała się dziećmi niemal jak matka, dopóki trochę się nie zdrzemnęły. Obserwowała jednak również wyraz twarzy Soamesa. Ona, Soames i kapitan Moggs lecieli w przedziale pasażerskim transportowca, kilka rzędów foteli za dziećmi.

– Chciałabym to jakoś zrozumieć – powiedziała Gail do Soamesa, przyciszonym głosem. – Pozostałe dzieci również umieją wszystko to, czego nauczyłem Zani, pomimo że nie miały żadnej możliwości, aby się tego nauczyć. Wiedzą o tym wszystkim, a przecież nie było ich w pokoju podczas nauki, a Zani nie miała czasu żeby im to opowiedzieć! Pomimo tego to nie wygląda jak telepatia. Gdyby były telepatami, mogłyby wymienić myśli bez konieczności mówienia. A one przez cały czas paplają!

– Gdyby były telepatami – powiedział Soames, – wiedziałyby, że chcę spalić ich urządzenie sygnalizacyjne. Mogłyby mnie zatrzymać, albo przynajmniej próbować to zrobić.

Kapitan Moggs wcześniej nie zwracała na ich dyskusję żadnej uwagi. Teraz nagle zapytała:

– Dlaczego ludzie nalegają na wyjawienie szczegółów tej sprawy, podczas gdy wojskowi myślą, że powinny one zostać utrzymane w tajemnicy?

– Ponieważ to ludzie giną zatopieni przez fale tsunami albo zabici przez cyklony. Jeżeli obcy z kosmosu odkryją Ziemię, to właśnie ludzie będą tymi, którzy ucierpią.

– Ale – powiedziała tonem wymówki kapitan Moggs, – niezbędne jest aby to wszystko utrzymać w sekrecie!

– Niestety – powiedział Soames, – historia wyciekła, zanim jeszcze ta decyzja została podjęta.

Rozmyślał o tym, jak nieuniknione jest to, że każdy spoglądał na całą sytuację wyłącznie z własnego punktu widzenia. Kapitan Moggs od strony militarnej; Gail pod kątem dziennikarki, temperowanym nieco przez instynkt macierzyński. A jego zafascynowały bez reszty niezliczone możliwości, jakie obiecywała technologia rasy, z której pochodziły dzieci. Zatęsknił za kilkoma dniami spędzonymi samotnie z jakimś niskotemperaturowym urządzeniem. Cały czas chodziło mu po głowie narzędzie do cięcia Frana.

Powiedział o tym Gail.

– A co do tego ma niska temperatura? – zapytała.

– Mają trochę drutu, który jest nadprzewodnikiem w temperaturze pokojowej. My nie potrafimy uzyskać nadprzewodnictwa w temperaturze powyżej 18° Kelwina, to jest w warunkach temperatury płynnego wodoru. Ale nadprzewodnik działa jak tarcza magnetyczna, nie zaraz, niezupełnie. Ale w każdym razie nie da się dotknąć go magnesem. Prądy indukcyjne w nadprzewodniku przeciwdziałają ich zetknięciu. Chciałbym wiedzieć, co się dzieje z polem magnetycznym. Czy się znosi, odbija, czy coś podobnego. Czy można by je, na przykład zogniskować?

– Nie rozumiem…

– Ja również… – powiedział Soames. – Mam tylko przeczucie, że ten mały kieszonkowy gadżet Frana zawiera w środku jakiś nadprzewodnik. Myślę, że potrafię na jego bazie zrobić coś zupełnie innego, coś odmiennego od jego urządzenia, co robiłoby zupełnie inne rzeczy. Ten gadżet sugeruje pewne możliwości, które naprawdę mam ochotę wypróbować.

– A ja – powiedział Gail, z nieśmiałym uśmiechem, – chciałabym spróbować napisać coś, czego pewnie nikt by nie wydrukował. Chciałbym napisać prawdziwą historię tych dzieci, tak jak widzę ją ja, z punktu widzenia, którego pewnie nikt nie będzie chciał podzielić.

Spojrzał na ją, zaintrygowany.

– Mój syndykat chciałby dostać historię o dzieciach, ale taką żeby nikt nie musiał się nad nią zastanawiać. Nie będą chcieli dyskusji problemu zwykłej przyzwoitości w stosunku do tych dzieci, uznania ich za ludzi, którymi przecież najnormalniej w świecie są, ale po prostu kolejnej opowiastki, którą każdy będzie mógł sobie poczytać, ot tak, bez żadnych niechcianych, niewygodnych, niepotrzebnych myśli… To takie miłe dzieci. Ktoś je bardzo dobrze wychował. Ale przy obecnym nastawieniu większości ludzi, próba przekonywania ich, że te dzieciaki nie są jakimś straszliwym złem, spowoduje tylko ich frustrację…

Machnęła bezradnie ręką, przyglądając się jak samolot z rykiem silników połyka kolejne mile.

Niebawem nad ich głowami pojawił się księżyc i zaczął świecić prosto na twarz Frana. Chłopiec poruszył się przez sen. Po chwili uchylił nieco powieki i sapnął. Powiódł dookoła zaskoczonym spojrzeniem — instynkt każdego budzącego się w nieznanym miejscu. Następnie odwrócił głowę do okna. Zobaczył księżyc.

Wydał z siebie cichy okrzyk. Przez jego twarz przebiegła cała gama uczuć. Wpatrywał się w niekształtnego, nie do końca kulistego towarzysza Ziemi, tak jak gdyby jego pojawienie się miało dla niego jakieś nadzwyczajne, przerażające znaczenie. Kurczowo zaciskał dłonie.

Siedząca za nim, Gail szepnęła:

– Brad! On jest… przerażony! Czy to znaczy, że on i inne dzieci chcą dać komuś znać …

– Bardzo w to wątpię – odparł Soames. – Gdybym uniemożliwił im wysłanie wiadomości do rodziców i znajomych, którzy wylądowali na Księżycu, to spoglądaliby na niego z nadzieją, albo tęsknotą, ale nie tak jak teraz. Spójrz tylko na nich.

Fran dotknął innego chłopca, Hoda. Hod obudził się i Fran powiedział mu coś nerwowym szeptem. Hod szarpnął głową i gapił się na księżyc w taki sam sposób jak wcześniej Fran. Wydał z siebie cichy, piskliwy dźwięk. Po chwili niespokojnie zamruczała Mal, tak jakby śnił się jej koszmarny sen. Obudziła się. Jednocześnie wstała również Zani i na usta cisnęło jej się coś, co w oczywisty sposób było pytaniem, ale niemal natychmiast przerwała. Mówiły jedno do drugiego przyciszonymi głosami, w swoim niezrozumiałym języku.

– Mam pomysł – powiedział Soames stłumionym, niedowierzającym tonem. – Zobaczmy.

Soames poszedł na dziób, do kabiny pilota. Wrócił z lornetką. Dotknął ramienia Frana, i wyciągnął rękę w której ją trzymał. Fran spojrzał na niego w górę oszołomionym wzrokiem, tak jakby w ogóle nie zauważał obecności Soamesa. Odwrócił oczy z powrotem do Księżyca.

Soames wyostrzył obraz w lornetce. To były doskonałe szkła. Góry pierścieniowe wznoszące się na nasłonecznionej części tarczy Księżyca widoczne były bardzo, bardzo wyraźnie. Mógł nawet zobaczyć małe plamki światła, po ciemnej stronie terminatora, były to szczyty górskie wystające ponad strefę ciemności i skąpane w świetle słonecznym. Widać było Arystarcha, Kopernika i Tycho. Można było dostrzec również ogromne, pozbawione cech charakterystycznych place księżycowych „mórz” — równin z niegdyś zalanych płynną lawą, która wypłynęła na powierzchnię, gdy w materię Księżyca wbijały się głęboko monstrualne kamienne pociski wielkości całych hrabstw. Księżyc wyglądał jak poobijany, potrzaskany, zdewastowany i zniszczony.

Soames ponownie dotknął ramienia Frana i pokazał mu jak korzystać z lornetki. Ręka Frana trzęsła się lekko, kiedy ją brał. Przyłożył szkła do oczu.

Zani zakryła oczy rękoma, z lekkim krzykiem. Wyglądało jak gdyby próbowała nie dopuścić do siebie obrazu, który widział Fran. Mal zaczęła cicho płakać. Hod wydawał z siebie tylko lekkie posapywanie.

Fran opuścił lornetkę. Spojrzał na Soamesa z straszną nienawiścią w oczach.

Soames wrócił do Gail, zostawiając dzieciom lornetkę. Stwierdził, że jest pokryty potem.

– Czy wiesz – szorstko zapytał Soames, – kiedy powstały góry na Księżycu? To bardzo interesujące pytanie. Właśnie uświadomiłem sobie odpowiedź. Powstały wtedy, gdy na Ziemi żyły trzypalczaste konie i olbrzymia liczba gatunków ryb ganoidów.

– Dzieci widziały Księżyc, kiedy… nie był taki jak… obecnie – powiedział z pewnymi trudnością. – Sama wiesz jak wygląda dzisiaj! Góry pierścieniowe, czasami o średnicy setek

mil, rozbryzgi skały powstałe podczas uderzeń asteroidów, prawdziwych monstrów z kamienia i metalu spadających z nieba. Morza księżycowe to miejsca, gdzie skorupa księżycowa została przebita i wylała się lawa. Smugi powstałe przez wybity w górę materiał skały księżycowej, który został wyrzucony na odległość setek mil!

– To była tylko hipoteza – powiedział Soames. – Ale teraz, to już jest coś więcej. Kiedyś więc istniała piąta planeta i albo eksplodowała, albo została rozbita w kawałki, diabli wiedzą jak! A Księżyc został zbombardowany przez jej szczątki, tak samo jak i Ziemia! Także tutaj, na tej planecie z nieba spadał deszcz skał o wielkości góry. Zniszczenia na Ziemi musiały być podobne do tych na Księżycu. Być może i u nas i tam jakieś miejsca przetrwały nienaruszone, akr tutaj, być może mila kwadratowa, tysiąc mil dalej. Przetrwały jakieś żywe organizmy i dzięki temu wszystko to dzisiaj, nie pozostawiło już niemal żadnych śladów. Mamy deszcze, wiatry i mrozy. Blizny Ziemi zanikły powoli w czasie milionów lat. Nawet nie wiemy, gdzie były te rany! Ale wiemy, że w tym czasie również żyli ludzie!

– Mieli bardzo rozwiniętą cywilizację – kontynuował Soames. – Mieli nadprzewodniki i jednostronne przewodniki ciepła. Osiągnęli taki stopień rozwoju, że nie wykorzystywali już więcej otwartego ognia, budowali więc statki ze stopu magnezu. Widzieli jak piąta planeta rozpada się na kawałki. Wiedzieli więc co musi stać się z Ziemią, gdy cały system słoneczny wypełnił się rumowiskiem powstałym z resztek planety. Ziemia miała być zbombardowana, zniszczona, spustoszona, doprowadzona do takiej postaci, w jakiej obecnie jest Księżyc! Być może mieli statki, które latały na inne planety, ale nie było ich dostatecznie dużo, aby ewakuować całą rasę. A ponadto jedyne planety, jakie mogliby wykorzystać, to planety wewnętrzne, a one miały zostać zbombardowane tak samo jak Ziemia i Księżyc. Co więc mieli robić? Niewielkie grupki rozbitków, mogły tu i ówdzie przetrwać, skazane na stopniową degenerację, popadnięcie w barbarzyństwo, ponieważ będą zbyt nieliczne. Ale gdzie mogłaby uciec cała cywilizowana rasa?

Gail wydala z siebie nieartykułowany dźwięk.

– Mogliby – ciągnął Soames beznamiętnym głosem, – mogliby spróbować przejść do przyszłości; do czasów po katastrofie, kiedy Ziemia uzdrowiła już swoje rany. Najpierw wysłaliby kogoś na zwiad, aby zobaczyć, czy to w ogóle jest możliwe. Jednakże, jeśli mieli wysłać tylko jeden statek — a wszyscy pozostali mogli być skazani, na śmierć — jeżeli wysłaliby tylko jeden statek, to sensowne jest, że daliby szansę przetrwania dzieciom. Sensowne jest nawet, że wysłaliby dwóch chłopców i dwie dziewczynki.

– Oni… mieli nadajnik – Gail powiedziała to, jakby ranił ją sam oddech. – Zniszczyłeś go. Oni mieli wysłać sygnał, nie o pomoc, jak myśleliśmy, ale dla tych ludzi, aby dołączyli do nich. M… może teraz mają nadzieję, że dostaną materiały i energię, do budowy kolejnego nadajnika. Przecież wszystko, czego używają jest takie proste, chłopcy mogli zostać wyszkoleni jak go zbudować. Potrafili w końcu naprawić ten, który mieli ze sobą! Naprawili go! Być może teraz mogą zbudować kolejny i spodziewają się, że im w tym pomożemy! Zostali specjalnie wyszkoleni…

– Jak miło, nieprawdaż? – zapytał ironicznie Soames. – W jakiś sposób zostali tu wysłani, by stworzyć przyczółek dla lądowania swoich rodaków. Cywilizacja, która jest w nieubłagany sposób, nieuchronnie skazana, chyba, że będzie mogła wyemigrować. Nie chodzi po prostu o jakiś zwykły podbój, z jakimś tam haraczem, który musielibyśmy im płacić. Muszą przejąć całą planetę! Muszą przejąć Ziemię albo umrą! – Skrzywił się. – I z drugiej strony te dzieciaki, które teraz rozmyślają o rodzicach czekających, aż z nieba zaczną spadać im na głowy skały o wielkości góry, a ja skazałem ich, na to by ciągle musieli czekać. Teraz dzieci muszą mieć rozpaczliwą nadzieję, że uda im się jeszcze jakoś do doprowadzić do ocalenia tych o których się martwią, że damy im środki by wszystko jeszcze uratować, nawet jeśli w wyniku tego procesu my sami mamy zostać zniszczeni! Czyż to nie jest miłe?

– Jeśli ktoś inny odkryje to czego się domyśliliśmy, dzieci staną się przedmiotem nienawiści tak wielkiej, że nikt nigdy wcześniej nie był jeszcze tak znienawidzony. Zostaną uznane za śmiertelne niebezpieczeństwo, którym przecież są. Przy ich cywilizacji, jesteśmy po prostu prymitywami! Musielibyśmy walczyć z nimi, ponieważ na Ziemi nie ma miejsca dla całej populacji innej planety! Nie ma żywności dla większej liczby ludzi! Nie możemy pozwolić im na przybycie tutaj, a oni muszą umrzeć, jeżeli tutaj nie przybędą. A dzieci pojawiły się u nas tylko po to, aby otworzyć drogę dla przybycia tych hord najeźdźców.

– Dzieciom nie wolno pozwolić na zbudowanie czegokolwiek czego nie rozumiemy, bo to mogłoby umożliwić im otwarcie kanałów komunikacyjnych ze swoimi rodakami. Jeżeli tego spróbują, będzie to próba uratowania ich własnej rasy, poprzez zniszczenie naszej. Oni musieliby nas zniszczyć, a ja… – jego głos nagle zabrzmiał dziko i gwałtownie, – nie mam zamiaru pozwolić, by coś stało się tobie!

Policzki Gail nadal były blade, ale zaczęły już na nie wracać ślady kolorów. Ciągle jeszcze wyglądała na skruszoną kiedy popatrzyła do przodu, gdzie dzieci szeptały coś do siebie pozbawionymi nadziei głosami.

Rozdział 5

Odrzutowy transportowiec, kiedy był w powietrzu nad Południową Karoliną, otrzymał nowe rozkazy lotu. Pośród wojskowych oraz ich politycznych szefów z rządu, pojawiło się nowa podejście w stosunku do statku i jego załogi. Nowe podejście było skutkiem matematyki.

Wybuch ryku zakłóceń, trwający całe trzy sekundy, uczynił sprawę czymś dużo poważniejszym. Nie można było nią już łatwo sterować i wygłaszać wokół niej tylko nic nie znaczące publiczne wypowiedzi. W każdym państwie, w końcu komuś przyszło do głowy, by policzyć moc tego pozbawionego treści sygnału. Był on powszechnie łączony z pojawieniem się statku dzieci — co do którego nikt naprawdę nie uwierzył że były w nim dzieci — i dlatego początkowo sprawę lekceważono. Ale moc, energia związana z zakłóceniami, była niewiarygodna. Wyniki obliczeń poszły do departamentów obrony i głów państw. I oni zaczęli reagować. A w konsekwencji, odrzutowiec otrzymał rozkazy, by zmienić kurs i skierować się na zachód.

Po wielu godzinach transportowiec w końcu wylądował. Po chwili rozciągające się przed nim zbocze góry zaczęło się unosić. Cały, ogromny, pokryty trawą teren wędrował w górę. To były olbrzymie wrota. Transportowiec wtoczył się powoli do monstrualnej, pozbawionej okien, sztucznej groty, a zbocze góry zamknęło się za nim.

Była to również baza, ale nie taka jak ta w Zatoce Gissell. Nawet samo jej istnienie było już tajne. Wszyscy mieli nadzieję, że nigdy nie będzie musiała być użyta do celów, dla których została zaprojektowana. Soames, nigdy nie zobaczył żadnej z jej części, których nie powinien zobaczyć. Nikt nie wspomniał mu nawet o żadnej funkcji, jaką miałaby spełniać baza, poza ukryciem dzieci ze statku kosmicznego, któremu przydarzyła się katastrofa na Antarktydzie. Domyślał się jednak, że jeżeli kiedykolwiek miałaby wybuchnąć na Ziemi wojna atomowa, rakiety startujące z tego miejsca, i innych jemu podobnych, miałyby pomścić zniszczenia wywołane w Ameryce.

Niebawem, kiedy Gail i dzieci zostały już zainstalowane w niesamowicie zwyczajnym małym domku, Soames zmarszczył brwi. Przybyli do wioski przy pomocy windy z tunelu prowadzącego setki stóp pod ziemią, ale wioska, w której stał domek, wyglądała dokładnie tak jak każda inna odległa i senna osada. Soames zaczął protestować przeciw temu by Gail pozostała tak pozbawiona ochrony i tak bardzo samotnia. Bez śladu uśmiechu pokazano mu, że dookoła było ogrodzenie elektryczne, z strażnikami, kolejne o milę dalej, a jeszcze dalej trzecie. Dookoła niego rozmieszczone były jeszcze posterunki wartownicze. Nikt nie mógł wedrzeć się do wioski. Ale z powietrza wyglądało to na zupełnie normalne miejsce. Nic w ogóle nie wskazywało na istnienie głębokich podziemnych szybów, które wychodziły w zwykłym wiejskim sklepiku spożywczym. Nie było również śladu tuneli prowadzących z innych domów do tego punktu handlowego.

Soames udał się do wyznaczonej mu innej kwatery. Chciał popracować nad paroma rzeczami, który przyszły mu do głowy podczas kilku ostatnich godzin lotu. Przypuszczał, w

rozmowie z Gail, że dzieci przybyły z bardzo odległych czasów. Były na to pewne dowody, ale niekoniecznie musiało być to prawdą. A więc chciał wykonać test.

Kiedy dzieci jadły śniadanie, on narysował w szkicowniku diagram części systemu słonecznego. Kropka oznaczająca Słońce i okręg z kropką na nim oznaczającą Merkurego, najbliższą planetę. Kolejna kropka na okręgu oznaczająca Wenus, drugi świat. Trzeci okrąg i kropka oznaczająca Ziemię i jej orbitę, a obok kropki wskazującej Ziemię, narysował półksiężyc, dla oznaczenia Księżyca. Obok kropki oznaczającej Marsa, narysował dwa półksiężyce, ponieważ Mars ma dwa małe księżyce.

Dzieci przedyskutowały diagram między sobą. Zani zakończyła rozmowę stanowczą uwagą w języku, którego używały. Fran narysował piąty okrąg, umieszczając na nim kropkę, by wskazać piątą planetę i dodał obok niego cztery półksiężyce, a potem narysował szósty okrąg z dużą kropką i umieścił obok niej dwanaście półksiężyców.

Soames wziął głęboki oddech. Planeta z dwunastoma księżycami, musiał to być Jowisz, który obecnie, licząc od Słońca, jest następny po Marsie. Podana liczba księżyców powodowała, że było to niewątpliwe. A więc Fran umieścił, tam gdzie teraz jest jedynie planetarne rumowisko, asteroidy, piątą planetę z czterema księżycami,.

Diagram dowodził więc wyraźnie, ku satysfakcji Soamesa, że hipotetyczna piąta planeta istniała, że miała cztery księżyce, oraz że dzieci przybyły raczej przez czas niż przez przestrzeń. Teraz miał również ponurą pewność co do powodu dla którego dzieci przybyły na Ziemię tu i teraz.

Bombardowanie z kosmosu nie jest czymś zupełnie nieznanym. W 1914 roku miał miejsce upadek meteoru na Syberii, który przewrócił wokoło wszystkie drzewa w odległości do pięćdziesięciu mil. Kilka tysięcy lat wcześniej, osiem albo dziesięć, krater Kanionu Diablo w Colorado, został utworzony przez pocisk z nieba, które starł wszystkie żywe stworzenia w promieniu tysiąca mil. Wcześniejszy ciągle dużo większy krater został utworzony w Kanadzie, a istnieją jeszcze ślady, nawet bardziej odległego w czasie, trafienia olbrzymim pociskiem kosmicznym, w Południowej Afryce. Góra pierścieniowa jest już w dużym stopniu zniszczona, ale miała wiele mil średnicy.

Sytuacja w jakiej znalazła się rasa dzieci, była jeszcze gorsza. Oczekiwali oni zmasowanego bombardowania, zamiast pojedynczych uderzeń z nieba w milenijnych odstępach. Piąta planeta, właśnie niedawno, rozpadła się na kawałki. Jej fragmenty zmierzały ku Ziemi i Księżycowi, po tym jak kilka tygodni wcześniej pokiereszowały Marsa, a jakieś dwa tygodnie później zniszczyć miały Wenus i spadać na Merkurego. Postrzępione kawałki rozbitej planety napełniły niebo Ziemi płomieniami.

Ziemia nieustannie się trzęsła. Z szalonym, chaotycznym brakiem wykrywalnego rytmu, z nieba spadały cale serie głazów wielkości góry, w niemożliwym do przewidzenia czasie i miejscu. Patrząc nocą w górę, żywe istoty, w dowolnym miejscu na Ziemi, mogły zobaczyć gwiazdy przesłonięte przez nieregularne, szybko powiększające się ciemne plamy, rosnące aż do chwili gdy nad ich głowami panowała już wyłącznie ciemność. Długo jednak nie trwała. Spadając przez monstrualnie ściśniętą atmosferę, ciemne plamy gwałtownie zamieniały się w rozgrzany do białości żar i rozbijały się na dole wokół ginących istot żywych.

Żadna z istot żywych, które widziały jak całe niebo zamienia się w morze płomieni nie mogła tego przeżyć, by zapamiętać ten widok. Żadna nie przetrwała. Oczywiście! Obracały się w chmury rozżarzonego gazu bijące w górę aż po górne warstwy ziemskiej atmosfery. Niektórzy mogli usłyszeć z odległości wielu mil tylko odgłosy upadku, i zginąć w wyniku

wstrząsów. Przez powierzchnię Ziemi przebiegały potężne fale, rozchodzące się straszliwie we wszystkich kierunkach. Otwierały się w niej przepastne otchłanie, z których buchały płomienie przypominające piekło. Wybrzeża zostały zalane przez fale tsunami o rozmiarach gór, spowodowane przez mile sześcienne wody morskiej obróconej w parę, gdy monstrualne obiekty wpadły do oceanu z prędkością dziesiątków mil na sekundę.

To właśnie działo się na Ziemi w czasach, z których przybyły dzieci. Być może dorośli przewidzieli to w na czas, by podjąć jakieś działania, których efektem był statek w którym się pojawiły. Ale statek musiał być budowany bardzo pośpiesznie. Całe przedsięwzięcie mogło się zacząć jeszcze przed początkiem bombardowania, ale musiało zostać zakończone tuż przed samym końcem, kiedy asteroidy już nurkowały w kierunku bezbronnej Ziemi, która falowała i zwijała się w agonii.

Ludzie złapani w taką kosmiczną pułapkę, nie będą w nastroju, aby negocjować czy też czynić jakieś obietnice, w celu założenia w przyszłości przyczółka w jakimś innym miejscu. Wyleją się po prostu na Ziemię, i współczesny świat musiałby rozpaść się w konflikcie. Nie mogło być tu pokojowego rozwiązania. To było nie do pomyślenia.

Ze Wschodu przybył zespół badawczy, aby dowiedzieć się od Soamesa wszystkiego o lądowaniu statku.

Zaczął od początku, dając im taśmę z radaru przeciwmeteorytowego, a następnie z najwyższą precyzją relacjonując wszystkie wydarzenia, aż do chwili przybycia z dziećmi i ich artefaktami do bazy w zatoce Gissell. Nie wspomniał nic o telepatii ani o podróży w czasie, ponieważ to mogłoby wydawać się im zupełnie niewiarygodne.

Gdy wojskowi chcieli informacji o natychmiast dostępnych wspaniałych super-broniach, powiedział im, ze nic nie wie o żadnej broni. Musieli wydać opinię na podstawie urządzeń, które wzięły ze sobą dzieci. Kiedy ludzie od public relations energicznie wypytywali go, z której planety lub którego systemu słonecznego przyleciał statek kosmiczny, i kiedy można było oczekiwać statku z ekspedycją ratunkową, poszukującą dzieci, głównie ironizował. Sugerował, że tę informację mogą podać dzieci, jeśli zapyta się je we właściwym języku. On po prostu tego nie wie. Ale dwóch z przybyłych fizyków, byli to ludzie, których nazwiska znał i szanował. Słuchali uważnie tego co im powiedział. Obejrzeli wszystkie urządzenia zabrane ze statku i następnie z powrotem wrócili do rozmowy z nim.

Powrócił do swoich rozmyślań. Dzieci podróżowały w czasie. Wszystko na to wskazywało, począwszy od radaru przeciwmeteorytowego, do reakcji dzieci na ukazanie się poznaczonego cętkami księżyca oraz ich wiedzy o tym, że w układzie Słonecznym powinna istnieć dodatkowa piąta planeta, której przypisali cztery księżyce. To wszystko naprawdę miało miejsce. Stanowczo. Był jednak pewien mały problem. Jeśli podróże czasie byłyby możliwe, to człowiek który udałby się w przeszłość, mógłby w jakiś sposób zabić swojego dziadka lub ojca, a w takim przypadku nie mógłby się w ogóle urodzić, a więc nie byłoby możliwe aby mógł podróżować w czasie. Ale jeśli nie mógłby wrócić w przeszłość, normalnie by się urodził, i mógłby podjąć próbę zapobieżenia swojej egzystencji — gdyby podróże w czasie były możliwe. Wszystko to oczywiście było niemożliwe, a więc podróż w czasie była również niemożliwa.

Mówiąc bardziej technicznym językiem, jest tylko jedno prawo natury, która wydaje się nieuchronnie prawdziwe, od czasu jego ostatniej modyfikacji, uwzględniającej energią jądrową. To jest prawo zachowania masy i energii. Łączna ilość energii i materii wziętej razem, w całym wszechświecie, nie może się zmienić. Materia może zostać przekształcona w

energię, i bez wątpienia również energia w materię, ale łącznie są one stałe w czasie, w każdym jego momencie. Gdyby zaś statek mógł przemieścić się z jednego okresu czasu w inny, pomniejszyłby łączną ilość energii i materii w okresie z którego wyruszył, a powiększył łączną ilość w tym, do którego przybył. A to oznaczałoby, że prawo zachowania masy i energii było błędne. Tak jednak być nie mogło. Było prawdziwe. Kropka.

Soames próbował pogodzić to co musiał przyjąć z czym co wiedział. Nie udawało mu się. Chwilowo więc uznał, że cywilizacja dzieci zrobiła czegoś, co zgodnie z układem odniesienia związanym z jego wiedzą było niemożliwe. Musieli więc mieć zupełnie inny system wiedzy niż jego. Próbował określić ich układ odniesienia, w jakimś prostszym problemie niż podróż w czasie. Wybrał jedno z ich niezrozumiałych urządzeń. Próbował powielić jego zasadę działania, zrozumieć ją, a potem porównać i uogólnić. Pośpiesznie coś gryzmolił, rysował wykresy i diagramy, groźnie na nie spoglądał, ciężko pracując. Tak naprawdę, to początkowo, nie miał specjalnej nadziei na sukces. W pewnej chwili jednak zaklął gwałtownie i zaczął dokładniej przypatrywać się temu co naszkicował.

Zaczął właśnie produkować drugi zestaw wzorów i wykresów, kiedy wrócili do niego dwaj fizycy z zespołu badawczego. Jeden z nich był niski, a drugi bardzo szczupły. Wyglądali na lekko oszołomionych.

– To są dzieci – powiedział szczupły człowiek o bardzo cienkim głosie. – i to ludzkie dzieci, ale ich wiedza naukowa sprawia, że czuję się śmieszny. Są wieki przed nami. Nie byłem w stanie zrozumieć sposobu działania żadnego z urządzeń, które mają. Na jakiej zasadzie mogły by one działać, tego nie mogę sobie nawet wyobrazić.

– Nie można rozmawiać na duże odległości – powiedział Soames.

– Co pan chciał przez to powiedzieć? – spytał szczupły człowiek, ciągle oszołomiony tym co zobaczył.

– Dźwięk słabnie z kwadratem odległości – wyjaśnił Soames. – Nie można więc wywołać dźwięku — chyba, że używa się działa — który mógłby być słyszany z odległości dziesięciu mil. Tak więc niemożliwe jest, aby mówić do siebie z pewnej odległości.

– Ja również czuję się jakbym zwariował – powiedział niski człowiek, – ale są przecież telefony.

– To nie to samo co mówienie do siebie z dużej odległości. Rozmawia się z mikrofonem, który jest oddalony o kilka cali. Ktoś inny odbiera dźwięk ze słuchawki trzymanej przy swoim uchu, z pewnego odbiornika. Nie rozmawia się z człowiekiem, ale z mikrofonem. Odbiorca nie słucha ciebie, ale odbiornika. Skutek jest taki sam jak mówienie do siebie z pewnej odległości, więc ignorujemy fakt, że tak naprawdę, to jest inaczej. Przeprowadziłem pewien eksperyment myślowy. Zagrałem z rzeczami wziętymi przez dzieci w pewną grę. Wygrałem ją, a przynajmniej jedną z gier.

Obaj słuchali bardzo uważnie.

– Wyobraziłem sobie – powiedział Soames, – że jestem członkiem rasy dzieci, rzuconym tak jak one, na Ziemię. Jako rozbitek wiem, że mogę zrobić pewne rzeczy, które przez miejscowych barbarzyńców — czyli przez nas — uważane są za niemożliwe do zrobienia. Aby je zrobić potrzebuję jednak, pewnych specjalnych materiałów. Mnie, dostarcza ich moja cywilizacja. Tutaj, one nie istnieją. Nie chcę jednak utonąć w powodzi barbarzyństwa. Jeszcze nie jestem w stanie zrekonstruować swojej cywilizacji. Co mogę zrobić?

Szczupły fizyk nagle podnosił głowę. Niski człowiek popatrzył w górę.

– Wezmę takie materiały, jakich dzikusy na Ziemi mogą mi dostarczyć – powiedział Soames. – Zadowolę się oczywiście działaniem zbliżonym do normalnego. A w praktyce, jako rozbitek w barbarzyńskim otoczeniu, rozwinę cywilizację, która nie jest już taka barbarzyńska. Nie jest też co prawda taka zaawansowana jak w przypadku mojej rasy, ale w pewien sposób jest lepsza niż tamte dwie, ponieważ jest tak skrojona by pasować do dostępnych pod ręką materiałów i środowiska, w którym się znajduję.

Niski fizyk powiedział powoli:

– Myślę, że rozumiem, w jakim kierunku pan zmierza. Ale to jest tylko pomysł…

– Wypróbowałem to na tym jednostronnym przewodniku cieplnym – powiedział Soames. – Nie potrafię go powielić. Ale zaprojektowałem coś co będzie działać niemal, ale nie zupełnie tak samo jak ich naczynie do gotowania. Proszę rzucić okiem na to.

Rozłożył skończony schemat pierwszej rzeczy, nad którą pracował. Bez trudu go zrozumieli. Soames pomagał w projektowaniu radaru do obserwacji meteorów w bazie w Zatoce Gissell i używane przez niego oznaczenia elektroniczne były standardowe. Tylko jedna część urządzenia, wymagała dokładniejszego omówienia w szczegółach. Szczupły fizyk śledził schemat.

– Zaprojektował pan cewkę z bardzo niską indukcyjnością.

– Nie niską – poprawiony Soames. – Ujemną. Ona ma mniej niż żadną indukcyjność. Zamiast stawiać opór zastosowanemu prądowi, tworzy sprzężenie zwrotne. Jeśli przyłoży się do niej jakiś prąd powstaje w niej sprzężenie, zwiększające pole magnetyczne, aż do osiągnięcia nasycenia. Wtedy zaczyna tracić swój magnetyzm, sprzęgając się z siłą o przeciwnym znaku do siły elektromotorycznej, powiększając prąd demagnetyzacji aż do nasycenia z przeciwną biegunowością. Dostajemy więc zmienny magnes, który nie nagrzewa się z powodu swojej zmienności magnetycznej, ale absorbuje ciepło, próbując utrzymać swoją stabilność. Ta rzecz będzie pochłaniać ciepło, skądkolwiek — z powietrza, wody, światła słonecznego lub czegokolwiek innego — i wytwarzać prąd elektryczny.

Dwaj naukowcy spojrzeli, ponownie prześledzili schemat, spoglądając od czasu do czasu na siebie.

– To… powinno! – wykrzyknął szczupły człowiek. – To… to musi! To jest wspaniałe! To ważniejsze niż jednostronne przewodzenie cieplne! To jest…

– To nie jest nawet w połowie tak wygodne jak naczynie, które staje się zimne na zewnątrz, a więc może stać się gorące w środku – spostrzegł Soames. – Z punktu widzenia rozbitka to prymitywne rozwiązanie. Ale to właśnie jest to, co może się stać, gdy dwie cywilizacje oddziałują na siebie, nie próbując natychmiast wymordować się wzajemnie. Moglibyście panowie tego spróbować.

Fizycy mrugali oczyma. Wtedy niski człowiek powiedział niespokojnie:

– Czy damy radę to zrobić?

Szczupły człowiek powiedział jeszcze bardziej gorączkowo niż wcześniej:

– Oczywiście! Spójrz na tę rzecz do poprawy pogody! Nie możemy jej dokładnie powielić, ale kiedy się pomyśli… W cieczach nie ma efektu Halla. Nikt nawet nie próbował stwierdzić czy występuje on w zjonizowanych gazach. Ale kiedy się pomyśli…

Niski człowiek przełknął ślinę. Potem powiedział:

– Nie zmieniasz temperatury, i aby było spełnione równanie…

Mówili gorączkowo jeden przez drugiego. Bazgrali wzory i wyliczenia. Niemal bełkotali w pośpiechu. Kiedy przybyli inni członkowie zespołu badawczego, zobaczyli ludzi z głowami w chmurach.

Wojskowi nie byli zadowoleni. Wracali z pustymi rękoma. Nie byli w stanie wydobyć od dzieci nawet informacji statystycznej.

Nie mieli w zasadzie żadnej przydatnej informacji. Kieszonkowe urządzenie do cięcia Frana wyglądał tajemniczo i nie wydawał się specjalnie obiecujący jako broń. Nie mogli nawet mieć nadziei, że uda im się skopiować coś, co Soames nazwał super-radarem. Gdyby zdołali zrobić kopię naczynia do gotowania, mogłoby ono po pewnych modyfikacjach dostarczać energii dla statków, łodzi podwodnych czy nawet samolotów. Nie było jednak żadnej broni. Żadnej. Duże rozczarowanie.

Ludzie od public relations, nie tylko że nie byli zadowoleni. Byli wręcz przerażeni. Przybycie dzieci musiało spowodować panikę finansową. Cała ziemska cywilizacja, była w oczywisty sposób przestarzała. Technologia Ziemi była tak staromodna, należało wziąć pod uwagę jej ewentualne całkowite wyparcie, co musiało skutkować rozpadem systemu ekonomicznego.

Tylko dwaj fizycy wręcz promienieli. Nie dowiedzieli się od dzieci żadnych nowych faktów naukowych, nie poznali zasady działania ich wyposażenia, ale dostali sztuczkę myślową Soamesa.

W międzyczasie nadeszła noc. Soames znów poszedł do tego zaskakująco zwykłego domku, który zajęła Gail z czwórką dzieci.

– Miałam dosyć kiepski dzień – powiedziała zmęczonym głosem Gail. – Martwię się też o dzieci. I o ciebie. O siebie zresztą również. Jestem… bardzo przerażona, Brad!

Rozłożył ręce. Usiłował ją nieco uspokoić. I wtedy, w niezamierzony sposób, przytulił ją. Nie opierała się. Płakała rozpaczliwie na jego ramieniu, odreagowując napięcie nerwowe.

Nagle pojawiła się kapitan Moggs. Gail natychmiast się pozbierała i odsunęła od Soamesa. Jedną ręką, trzymała jednak go za rękaw, nadal lekko drżąc.

– To straszne! – powiedziała kapitan Moggs. – Nigdy byście chyba państwo nie uwierzyli, co się stało! Rosjanie mają zdjęcia statku kosmicznego! Fotografie, które pan zrobił, Soames! Wiedzą o wszystkim! Musieli zdobyć zdjęcia, kiedy ich samoloty wylądowały w Zatoce Gissell! Ale jakim cudem?

Na to pytanie Soames mógłby odpowiedzieć bez trudu i to dosyć precyzyjnie. Podczas wizyty Rosjan, jakiś przedsiębiorczy członek ich zespołu naukowego, musiał pozostać bez nadzoru w pokoju naukowym w bazie.

– Przekazali kopie zdjęć zgromadzeniu Narodów Zjednoczonych – kapitan Moggs niemal się rozpłakała. – Wszystkie! Powiedzieli, że to są zdjęcia statku kosmicznego obcych, który wylądował… i oni… oni mówią, że my, Amerykanie zabraliśmy załogę do Stanów Zjednoczonych — co faktycznie zrobiliśmy… Ale oni mówią, że teraz negocjujemy układ z nieludzkimi potworami, które przyleciały na statku! Mówią, że sprzedajemy resztę ludzkości! Że targujemy się, by zdradzić świat potworom z kosmosu, w zamian za bezpieczeństwo dla siebie! Domagają się, żeby Organizacja Narodów Zjednoczonych przejęła statek i jego załogę.

Soames delikatnie zagwizdał. Oskarżenie było na tyle obłąkane, by w nie uwierzyć. Nie było już statku, a i dzieci w niczym nie przypominały potworów. Nie było więc żadnego sposobu, by przekonać kogokolwiek, nawet gdyby Ameryka wykonała uczciwą próbę by spełnić żądania i odpowiedzieć na skargi. Sprawa dzieci i ich statku, poprowadzona została źle. Nie było jednak żadnego sposobu, by to zrobić dobrze. Przybycie dzieci było katastrofą, niezależnie od której strony na to by nie patrzeć.

– Nic nie można było zrobić – lamentowała kapitan Moggs, – tylko potwierdzić fakty. Nasza delegacja stwierdziła, że statek rozbił się przy lądowaniu i jego załoga potrzebowała trochę czasu, aby wyjść z szoku i w jakiś sposób porozumieć się z nami. Nasza delegacja powiedziała dalej, że pełne sprawozdanie nie zostało jeszcze sporządzone nawet dla naszego rządu, ale że teraz zostanie przygotowane i natychmiast ogłoszone.

Gail spojrzała na Soamesa, którego sylwetka w zapadających ciemnościach była ledwie widoczna. Pokiwał głową.

– To sprawozdanie – powiedział Soames. – To będzie nasza sprawa. Szczególnie twoja.

– Tak – powiedział Gail pewnym głosem. – Ty napiszesz o stronie technicznej, ja wysmażę dla ONZ historię o aspekcie ludzkim sprawy, która spowoduje, że wszyscy ich pokochają!

Soames czuł się łajdakiem, bardziej niż zazwyczaj.

– Trzymaj się tego – powiedział z nieszczęśliwą miną. – To dobrze, jeśli spowodujemy, że dzieci staną się atrakcyjne, ale nie możemy przesadzić. Chyba pamiętasz dlaczego?

Gail natychmiast się pohamowała.

– Niestety, one nie pochodzą z jakiegoś miłego, bardzo odległego systemu słonecznego – kontynuował Soames, nadal nieszczęśliwym tonem. – Przybyły stąd, z Ziemi z innego czasu, gdzie z nieba spadają góry. A rodziny tych dzieci muszą pozostać dokładnie tam gdzie są, dopóki ogniste głazy nie zamienią ich nieba w płomienie i nie rozbiją się na ich domach, aby ich zniszczyć. Ponieważ nie możemy pozwolić im na przybycie tutaj.

Gail wpatrzyła się w niebo nad jego głową, a z jej twarzy uszło całe życie.

– Och, pewnie! – powiedziała z goryczą. – Pewnie! To prawda! Nie możemy na to pozwolić! Nie wiem czujesz się jak ty i reszta świata, ale ja będę nienawidziła siebie, przez całą resztę życia!

Rozdział 6

Następnego dnia rano, Soames pamiętając Rexa, przyniósł dzieciom dwa szczeniaki. Akurat był w małym domku, kiedy pojawiła się kapitan Moggs. Stał koło wejścia, przyglądając się jak Mal i Hod, bawią się z pieskami, na trawniku przed domem. Zani została tym razem w środku i rysowała sobie przy stole. Gail oglądała naszkicowane przez nią obrazki miast, podając jej w miarę potrzeby nowe kartki papieru i kredki. Zani natychmiast podchwyciła pomysł. Nie miała może jakiś wybitnych zdolności, ale rysowała z chwytającą za serce prostotą. Właśnie narysowała kolejne miasto, gdy Gail odwróciła się w stronę wchodzącej kapitan Moggs.

– Przekazałam do Waszyngtonu pana gotowość do tego, by opracować sprawozdanie, panie Soames – powiedziała kapitan Moggs z zadowoleniem. – Pański status został wyjaśniony. Papiery właśnie są w drodze.

Soames nieco się przesunął. Z tego miejsca, w którym teraz stanął, mógł obserwować przez okno bawiących się na zewnątrz Mal i Hoda. A lekko tylko odwracając głowę mógł widzieć Zani. Dziewczynka nie mogła zobaczyć niczego co zaszło od chwili, gdy Mal po dziewczęcemu przytuliła jednego ze szczeniaków, a Hod w zupełnie inny sposób zaczął bawić się z drugim. Okno było za plecami Zani.

Soames nie przysłuchiwał się zbyt uważnie. Oprzytomniał nieco.

– Słucham, pani kapitan?

– Pański status został wyjaśniony – oznajmiła kapitan Moggs władczym tonem. – Został pan cywilnym konsultantem. Wcześniej nie miał pan żadnego oficjalnego statusu. Był to poważny problem dla biurokracji. Teraz ma pan status służby cywilnej, kategorię, przydzieloną rangę i klasyfikację bezpieczeństwa.

Soames ponownie odwrócił głowę, aby obserwować dzieci na dworze. Dołączył do nich właśnie Fran, idąc gdzieś od strony tyłów domu. Niósł coś na rękach. To był biały królik. Przyniósł go, aby pokazać Mal i Hodowi. Położyli szczeniaki i przyglądali mu się w zdumieniu, głaszcząc po futrze i rozmawiając o czymś niedosłyszalnie.

Soames spojrzał szybko na Zani. Jej ołówek przestał poruszać się po papierze. Wyglądała, jakby coś ją bardzo mocno zaabsorbowało chociaż jej oczy spoczywały na znajdującym się przed nią rysunku.

Gail poruszyła się i Soames kiwnął na nią ręką. Zaintrygowana, przyszła natychmiast do jego boku. Powiedział do niej cicho:

– Popatrz tylko na dzieci na zewnątrz i na Zani.

Fran odebrał królika i odszedł z nim, aby oddać go właścicielom. Zani wróciła do swojego rysunku. Dójka dzieciaków na zewnątrz wróciła zaś do zabawy ze szczeniakami. Jeden z piesków rozłożył się tryumfalnie na drugim z wyrazem uprzejmej sympatii na pyszczku. Bez żadnego powodu, zaczął z zastanowieniem żuć ucho drugiego ze szczeniaków. Ofiara protestowała, ale bez specjalnego oburzenia.

Zani, po powrocie do swego rysunku, zachichotała do siebie. Dwoje dzieci na zewnątrz, rozdzieliło szczeniaki, znowu się z nimi bawiąc, każde ze swoim.

– Zani wiedziała – szeptem powiedział Soames. – Wiedziała to, co widzieli pozostali.

– Tak jest przez cały czas. – powiedziała Gail podobnym cichym głosem. – Zauważyłem to już wielokrotnie, odkąd mi to pokazałeś. Ale oni nie mogą być telepatami! Stale mówią do siebie. Gdyby byli telepatami, nie musieliby tego robić.

Kapitan Moggs zawołała na nich. Podeszła do stołu, by przyjrzeć się rysunkowi Zani.

– Naprawdę, Gail, to dziecko bardzo ładnie rysuje! Czy uważasz jednak, że powinna tracić czas na obrazki, takie jak ten, podczas gdy tak istotne jest aby ona i pozostali nauczyli się angielskiego?

Gail cicho jej odpowiedziała:

– Ona rysuje obrazy ze swojego świata. To jest takie miasto, jakie budują jej rodacy. Myślałam, że to może być dobry pomysł, aby przekazała nam takie informacje.

Kapitan skinęła głową i ruszyła w stronę drzwi, a Gail podeszła do stołu, aby spojrzeć na rysunek, nad którym pracowała Zani, z typowym zaangażowaniem małej dziewczynki, w coś o czym wie, że po ukończeniu zostanie zaaprobowane przez grupę dorosłych. Gestem, Gail zaprosiła Soamesa, aby spojrzał. Zrobił to natychmiast.

Zani narysowała bez wątpienia szkic miasta, było ono jednak dosyć dziwne. Nie brakowało w nim wysokich budynków, ale ich ściany opadały falami ciągłych krzywych. Widać było również wspaniałe wieżowce i wznoszące się wysoko autostrady, śmigające zawieszonymi w powietrzu estakadami, by elegancko wylądować po jej drugiej stronie. W bryłach żadnej z przedstawionych grup budynków, nie było jednak widać nawet jednej linii prostej.

– Interesujące – stwierdził Soames. – Ten rodzaj budynku sugerowałby interesującą ultranowoczesną architekturę. Nie mają zewnętrznej konstrukcji stalowej. Widać tutaj tylko coś w rodzaju centralnego szkieletu, na którym wiszą wszystkie stropy. Muszą być napinane przez metalowe liny, które w efekcie tworzą kształt odciągów podobnych do tych stosowanych w wiszących mostach.

Zani dalej pracowała nad swoim rysunkiem. Gail powiedziała:

– A więc, to nie są tylko jej fantazje. Musiała to gdzieś zobaczyć. Spójrz tylko na to. To jest… być może należy nazwać to samochodem. Tyle że wygląda to niemal jak sanie. Albo może to będzie jakiś rodzaj motocykla?

Pokazała mu inny, skończony już rysunek. Zani narysowała pojazd z dziecinną prostotą, widać było, jednak że nie jest to tylko bezmyślne uproszczenie, ale kolejny interesujący skutek jakiejś bezpośredniej obserwacji. Pojazd nie miał kół. Spoczywał na czymś, co wyglądało jak dwie krótkie, grube podpory, podobne do ślizgów.

– Tak, to też chyba nie jest fantazja – powiedział Soames. – U nas również ostatnio zaczęto budować takie bezkołowe pojazdy. Utrzymują się mniej więcej cal nad ziemią na strugach wyrzucanego powietrza. Jadą po prostu na poduszkach powietrznych. Wymagają jednak sieci doskonałych autostrad. To mało prawdopodobne, żeby dziecko je narysowało, gdyby wcześniej nie widziała tego na własne oczy.

W milczeniu, Gail pokazała kolejne szkice. Na początek przyniosła rysunek mężczyzny i kobiety, najwyraźniej jakoś powiązanych z dziećmi. Kolejny rysunek przedstawiał grupę ludzi.

– Dziwne – powiedział Soames. – Zauważcie, że każdy nosi pas podobny do takiego jaki mają na sobie dzieci. Tak jak gdyby było to obowiązkowe.

Zerknął na Zani. Również teraz miała na sobie pas, założony na ubraniu w stylu współczesnej amerykańskiej małej dziewczynki. Pas nie wyglądał na zrobiony ze skóry, ani z plastiku, ani z jakiegokolwiek innego materiału, który potrafiliby określić. Miał dwa okrągłe i dwa kwadratowe medaliony umieszczone po jednym po każdej stronie zapinki, która jednak

nie była chyba też tylko zwykłą sprzączką. Pozostałe dzieci także nosiły dokładnie takie same pasy. Soames przyglądał się im przez dłuższą chwilę.

Gail podała mu kolejny arkusz papieru.

– Miałam zamiar to podrzeć, zanim zobaczysz.

Na rysunku widniał krajobraz, naszkicowany zaskakująco śmiałymi pociągnięciami miękkiego ołówka. Panowała noc. Na dole obrazka znajdowało się miasto o charakterystycznej, widzianej już wcześniej architekturze z odciągami. Poświęcono mu tak mało miejsca, pomimo że większość rysunku zajmowało czarne niebo. Ale nad samym miastem rozbłyskało jaskrawe światło, wychodzące z jakiegoś monstrualnego, postrzępionego, i rozżarzonego obiektu, spadającego na miasto z nieba i ciągnącego za sobą warkocz płomieni.

– I to – powiedziała Gail, bardzo cicho.

Tym razem był o widok krateru, góry pierścieniowej, terenu w który uderzyło coś strasznego i wielkiego. Kolista czeluść z pozałamywanymi skalistymi ścianami. Na pierwszym planie, w pobliżu miejsca, z którego rysunek wydawał się zostać zrobiony, widniało przewrócone drzewo.

– Masz rację, nie możemy pokazać tych rysunków nikomu innemu – powiedział Soames. – Dzieci są w wystarczająco dużym kłopocie już teraz, gdy traktuje się je jako gości należących do bardziej rozwiniętej rasy. Jeśli jednak ktoś domyśli się, że nie przybyły tutaj przypadkowo, ale po to aby w jakiś sposób otworzyć drogę do inwazji populacji całej planety, no cóż, sama możesz chyba sobie wyobrazić…

Zani niespodziewanie zachichotała głośno i aż podskoczył. Jej oczy spoczywały jednak ciągle na leżącym przed nią arkuszu kartonu. Soames wyjrzał przez okno. Mal położyła się na ziemi, a jeden ze szczeniaków wspinał się jej dzielnie na plecy, i uwiesił się swoim małym pyszczkiem na jej włosach. Merdał przy tym energicznie ogonkiem. Hod śmiał się na całe gardło razem z Mal, a w środku domku Zani — która przecież nie mogła widzieć co się działo na trawniku — chichotała razem z nimi.

– Nie widziała innych dzieci, ale wiedziała co się stało – powiedział Soames. – Podejrzewam, że to miejsce jest tak ściśle tajne, że nawet pamiętanie o nim na zewnątrz jest naruszeniem zasad bezpieczeństwa. Jeśli ktoś zauważy tę małą sztuczkę, którą mogą robić dzieciaki, to będą podejrzewane o celowe szpiegowanie ściśle tajnych rzeczy, nawet jeśli będą jedynie rysować obrazki albo bawić się z pieskami.

Soames wrócił do swojej kwatery. Zabrał się do dalszych prac nad prowadzonym eksperymentem myślowym, próbując wyobrazić sobie, że jest rozbitkiem z cywilizacji dzieci, chcącym zaimprowizować pewne udogodnienia, które jako rozbitek uznałby za prymitywne, ale jako tubylec za zdumiewające.

Od czasu do czasu, jednak, ironicznie zastanawiał się nad programem public relations dotyczącym dzieci. Przygotował kompletne sprawozdanie na temat statku, podając szczegóły związane z jego przybyciem i dodając wszystkie wnioski i przemyślenia, jakie poczynił na temat cywilizacji z której pochodziły dzieci. Pominął jednak kwestię jej domniemanej

lokalizacji na Ziemi, eony lat temu, oraz jej zbliżającej się zagłady. Gail natomiast opisała tę historię z punktu widzenia aspektu ludzkiego, wybierając ze swojego życia z dziećmi to co uważała za najlepsze. O żaden z raportów jednak nawet nie poproszono. Nikt nie wiedział również, gdzie miały one zostać wysłane. Soames, sardonicznie domyślał się, że gdzieś, jakaś polityka w stosunku do całej sprawy, musiała się zmienić.

Prawdziwym problemem budzącym jego troskę była nie, ta ostatecznie stosunkowo drobna kwestia, obecności dzieci, ale ich myśli o płonącym niebie i wyrzucanych w górę masach ziemi, rozrzucanych potężnymi strugami na wszystkie strony.

Dzieci musiały w końcu zostać ujawnione. Świat jednak założył, że załoga obcego statku kosmicznego musi być w jakiś sposób niesamowita i potworna. Ale czworo miłych dorastających dzieci? Podróżujących w kosmosie? Statki kosmiczne sterowane przez chłopców i dziewczynki, które ciągle jeszcze lubiły bawić się ze szczeniakami? Takie nieszkodliwe osoby, miałyby reprezentować najbardziej śmiertelne niebezpieczeństwo, wobec którego stanął współczesny świat?

Ale jednak one bez wątpienia je reprezentowały. Były to fakty, na które nie można było przymknąć oczu. I w jakiś sposób te fakty musiały zostać przedstawione opinii publicznej. Doradcy do spraw public relations, którzy przeprowadzali wywiady z dziećmi, wskazali pewne sposoby. Dostali więc tę pracę.

Upublicznienie informacji o dzieciach, zostało przeprowadzone w sposób wysoce profesjonalny. Załoga statku kosmicznego przedstawiona została widzom podczas najbardziej zdumiewającej transmisji telewizyjnej wszechczasów. Po raz drugi w historii, służby obsługujące przekaz transatlantycki, miały otworzyć dwa kanały komunikacyjne z Ameryki Północnej do Europy. Poprzez Aleuty transmisja miała osiągnąć Japonię, a przy pomocy statku przekaźnikowego, zostać przesłana na całą Azję i — przesłana ponownie — do Australii. Południowa Afryka miała zostać pokryta przy pomocy kablowych łączy naziemnych, prowadzących przez kontynent od Słupów Herkulesa. Spektakl miał być odbierany w basenie Morza Śródziemnego, na obszarze Bliskiego Wschodu, Skandynawii, a nawet na Islandii. Gail otrzymała szczegółowe instrukcje, które miała przekazać dzieciom.

Najwybitniejsza kobieca osobowość TV Ameryki miała pełnić rolę gospodyni, zastępując Gail, której zadaniem było przygotowanie dzieci do tego, aby rozumiały co się do nich mówi. Panna Linda Beach była w stanie nawiązać osobisty kontakt z każdą widownią. Wystarczyło ją tylko zobaczyć, a nie sposób było oprzeć się jej urokowi, dowcipowi i poczuciu przemożnej szczerości. Była w stanie sprzedać wszystko od mydła, poprzez samochody, aż po zupki w proszku. Oczywiście, była również doskonałym sprzedawcą w sprawie dzieci z kosmosu.

– Mam nadzieję, że profesjonaliści wiedzą co robią – powiedział Soames do Gail. – Być może jestem nieskomplikowanym człowiekiem, ale osobiście byłbym skłonny przekazać ludziom całą prawdę, bez żadnych skrótów i tajemnic. To może nie byłoby łatwe, i mogłoby czasami być niewygodne, ale byłaby to po prostu prawda.

Mały szybki transportowiec przybył, aby zabrać dzieci, Gail i Soamesa. Wystartował.

Soames zajął siedzenie obok Frana. Wyjął ołówek i bloczek papieru. Narysował sylwetkę chłopca puszczającego latawce i dodał u góry obrazek latawca. Później naszkicował chłopca idącego na szczudłach i rysunek pokazujący jak zostały zrobione szczudła. Soames właściwie już od wielu lat nie widział chłopca chodzącego na szczudłach i być może sztuka ta już nie była praktykowana, ale Fran okazał zainteresowanie. Soames narysował więc rower oraz

jadącego na nim chłopca, a potem poprawił rower na motocykl. Miał nadzieję, że Fran uzna jego szkice za interesujące, jeśli tak prymitywne rzeczy byłe w stanie sprawić chłopcu satysfakcję.

Fran jednak był wyraźnie zaintrygowany. Teraz on wziął ołówek i zaczął robić swoje własne szkice. Chłopiec w pasie podobnym do jego, jechał na czymś, co mgliście przypominało sanie lub motocykl. Narysował szczegółowo budowę płozy. To były powietrzne sanie, podobne do tych jakie wcześniej pokazała Zani, zobrazowane w bardziej wyrafinowanej formie. Fran naszkicował generator poduszki powietrznej, który miał tak prostą konstrukcję, że nawet czternastoletni chłopiec był w stanie go zaprezentować. Po mozolnej analizie, Soames zorientował się, że był to silnik odrzutowy, który można było uruchomić i używać w nieruchomym powietrzu. Koncepcja ta być może spowoduje, że silniki oparte na turbinach gazowych, znajdą praktyczne zastosowanie do napędu lokomotyw i samochodów.

Transportowiec wylądował. Samochód z opuszczonymi zasłonami, który wiózł dzieci z lotniska Idlewild do Nowego Jorku, otoczyła eskorta na motocyklach. Ściśle o określonym czasie, samochód zanurkował we wjazd do nowego budynku telewizji przy 59 ulicy. Agenci Secret Service oczyścili wszystkie korytarze, tak więc dzieci dotarły do przeznaczonego dla nich pomieszczenia przebieralni, nie widziane przez nikogo.

Godzinę później pojawiła się Linda Beach i rozpoczęła się próba.

Patrząc na monitory, dzieci zorientowały się w celu tych wszystkich działań. Dziewczynki paplały jedna przez drugą, naturalnie wchodząc w role, jakich od nich oczekiwano. Hod wydawał się zupełnie sparaliżowany, a Fran rozglądał się z groźną miną. Złagodniał jednak znacznie, kiedy zobaczył Soamesa przechodzącego przez tę samą procedurę.

Próba zakończyła się. Ponownie musieli długo czekać. W tym czasie historia dzieci — z całkowicie nieznanej i wyżej rozwiniętej cywilizacji — była przedstawiana światu, który przecież uważał je dotąd za obce istoty z kosmosu, podczas gdy były one, faktycznie aż nieprawdopodobnie, zwyczajne i normalne. Świat czekał aby się tego dowiedzieć. Czas wlókł się niemiłosiernie.

Na całym świecie ludzie czekali aby w końcu po raz pierwszy rzucić przelotne spojrzenie na stworzenia, których przybycie mogło oznaczać koniec świata.

W końcu wszystko się rozpoczęło.

Na otwarcie pokazu, odtworzono z kasety potężną fanfarę trąbek.

Wtedy pojawiła się Linda Beach. Przedstawiła Gail, Soamesa i kapitan Moggs.

Transmisja zaplanowana została jako ściśle informacyjna. Została jednak wyprodukowana z perfekcyjnym profesjonalizmem ludzi zajmujących się podświadomą sprzedażą oraz przy użyciu wszystkich technik z tej dziedziny. Dokładnie tak jak tego chciano, wprawiła więc widownię — a przynajmniej jej ogromną większość — w nastrój wiary, że właśnie poddają się jakiemuś łagodnemu sennemu marzeniu. Kiedy kapitan Moggs opowiedziała o odkryciu statku, jej władcza postawa i poczucie własnej wartości, spowodowała, że ludzie, niezależnie od swoich opinii dotyczących całej sprawy, poczuli, że była ona może nie śmieszną, ale jednak komediantką. Widownia pamiętała co prawda, ale z malejącym zainteresowaniem, że w pokazie miały później wystąpić jakieś interesujące potwory, oraz że wszyscy czekali aby je zobaczyć.

Pojawienie się dzieci było pewnym rozczarowaniem, ale raczej łagodnym. Kiedy były one pokazywane i przedstawiane, rozwinięto wszystkie środki, prowadzące do stworzenia syndromu telewizyjnego widza. Oczywiście odczuwało się, że zainteresowanie tworzonym show zaczyna opadać, i że wydarzenie raczej nie sprostało rozgłosowi z jakim było zapowiadane. Ale widownia telewizyjna jest do tego przyzwyczajona. Widzowie oglądali więc dalej, może z nieco mniejszą pasją wpatrując się w ekran, jak również nieco mniej

uważnie wytężając słuch, mimowolnie czekając na reklamy, podczas których mogli wziąć sobie jakieś piwo albo jego ekwiwalent bez utraty czegokolwiek ważnego.

Stan na wpół letargicznego spokoju widowni trwał nawet wtedy, gdy rozpoczął się tumult i zamieszanie i kiedy Linda Beach wręcz pazurami usiłowała utrzymać show w kupie, mimo powstałego za jej plecami zgiełku i hałasu. Nawet kiedy zerwano jej wiszący na szyi naszyjnik, wydawało się to absolutnie zamierzone i zabawne.

Aż do samego końca zdawało się, że wszystko to co naprawdę się stało, rozbijając nastrój profesjonalnie wyprodukowanego show, było jego elementem zaplanowanym dla wzmocnienia efektu. Dopiero pewne zdarzenie w samym końcu programu wytrąciło widzów ze stanu na wpół śpiączki, podobnie jak mogła to zrobić jedynie rażąca obsceniczność lub trudna do zniesienia profanacja.

Linda Beach, całkiem szczerze i w hołdzie dla dzieci wypowiedziała pewne zdanie, które okazało się niesłychanie wybuchowe. Kiedy show zostało zakończone, ludzie na całym świecie byli poruszeni, przerażeni i wściekli.

Tylko małe dzieci, czekając w hełmach kosmicznych i z przygotowanymi emiterami promieni, skarżyły się dotknięte, że nie było obiecanych potworów. Dorośli czuli, że jednak były. Że ciągle tam są.

Nienawidzili dzieci ze ściśle osobistą nienawiścią, opartą na strachu połączonym ze wstydem.

Rozdział 7

Ta część transmisji, w której występował Soames, skończyła się zaraz po tym, kiedy on, Gail i kapitan Moggs opowiedzieli historię odkrycia statku. Ich odpowiedzi były zręcznie sterowane przez pytania Lindy Beach.

Soames chciał zejść z wizji jak najszybciej. Zatopiony był w ponurych myślach. To co się tutaj działo, to było wielkie show, podczas gdy on wolałby zamiast niego zwykłą prezentację faktów. Nawet pomimo tego, że prawie wszystko co powiedziano było oparte na faktach. Wyszedł ze studia.

Przytomniejąc nieco, stwierdził, że siedzi w jakimś pustym pomieszczeniu, wyglądając przez okno na mrowie ludzi zebranych przed budynkiem telewizji.

Tłum stał się coraz bardziej niespokojny. Na parterze budynku, szyby okienne zostały zastąpione ekranami telewizyjnymi, i ludzie znajdujący się w ich w pobliżu mogli oglądać transmisję, słuchając jej przez zewnętrzne głośniki. Zebrany wokół gmachu tłum był jednak specyficzny, i nie zebrał się po to, aby zobaczyć transmisję, ale aby ujrzeć pozaziemskie monstra, pokryte skórą, futrem albo łuskami, czy też jakkolwiek inaczej miałyby one wyglądać. Dowiedzieli się, że potwory są już w środku i nie ma żadnej szansy na to, by zobaczyć je na własne oczy. Nieustannie byli podburzani przez demagogów i ludzi, którzy już od pewnego czasu zaczęli określać się jako obrońcy ludzkości. Z wolna czuli się coraz bardziej oszukani.

W tłumie kręciło się sporo nastolatków.

Stojący w oknie Soames, natychmiast zauważył wśród zebranych na dole ludzi, pewną dziwną rzecz. Otóż zwykły, szukający wrażeń tłum, zawierałby znaczny procent kobiet. Ten jednak wyglądał inaczej. Od strony zebranych gapiów dochodziły krzykliwe głosy, które do siedzącego dosyć wysoko Soamesa docierały słabo i fragmentarycznie. Mówcy, wygłaszali przemyślane i emocjonalnie dobrze dobrane opinie o monstrach z kosmosu, oczywiście wierząc, że ich racje są absolutnie bezsporne i poza dyskusją, oraz domagając się natychmiastowego działania. Oratorów było tylu, że panowała między nimi ostra konkurencja. Niektórzy zebrali wokół siebie cały gromady zwolenników, wspomagające ich skuteczność poprzez aplauz i głośne poparcie. Soames zauważył również co najmniej jedną hulaszczą grupę mężczyzn w wieku studenckim, którzy musieli chyba zostać zorganizowani przez wydawane w uczelni czasopismo humorystyczne. Powiewali tekturowymi transparentami „*Kosmiczne potwory do domu!*”

Samotny odbiornik telewizyjny, umieszczony w jakimś kącie w korytarzu, prezentował doskonały obraz programu idącego właśnie w eterze. Włoski fizyk stawiał właśnie pytania o kwalifikacje takich młodych dzieci, jako nawigatorów kosmicznych. Soames słuchał jednym uchem. Ponuro zdawał sobie sprawę, że jeśli dzieci nie są przekonujące jako goście z przestrzeni, to będą dużo mniej wiarogodne w ich prawdziwych rolach jako zbiedzy z innego czasu.

Studenci napływali to tu, to tam, robiąc demonstrację w żartobliwym stylu. Niestety, byli tam również młodzi członkowie mniej nieszkodliwych grup, zuchwali, świadomie złowieszczy członkowie organizacji znanych jako Maharadżowie, Komety i Najlepsi. Członkowie każdej z tych grup spoglądali wyzywająco na członków pozostałych organizacji.

Nieustannie przemawiali kolejni mówcy. Studenci usiłowali zaśpiewać coś, co musiało wydawać się im smakowicie komiczną piosenką. Ale nie spodobało się to nie-studentom Maharadżom, Kometom i Najlepszym.

Mikrofon przejął teraz naukowiec rosyjski. Został wysłany do Stanów Zjednoczonych specjalnie z powodu tej okazji. Stawiał wcześniej opracowane i uważnie rozłożone pytania. Przygotowane one zostały w celu szerzenia propagandy przez ludzi, którzy byli równie zręczni w sprawach public relations, co producenci tego show. Linda Beach musiała użyć całego swojego uroku osobistego, dzięki któremu sprzedała mydło, witaminy, samochody i zupki w proszku. Z odbiornika telewizyjnego dobiegały Soamesa błyskotliwe wymiany ciosów.

Pod budynkiem, na ulicy, nagle pomiędzy studentami upadła cegła. Więcej cegieł spadło pomiędzy ludźmi zaangażowanymi w zaimprowizowany meeting Obrońców Ludzkości. Rozległy się głośne gwizdki policjantów. Pękła jakaś szyba okienna. Twarz jednego ze studentów nagle zalała się krwią i biegnący klin Maharadżów lekceważąco przebił się poprzez poprzednio śpiewające grupy, wyciągając nabijane pasy i pałki, po to jedynie aby mieć honor rozpoczęcia zamieszek na 57 ulicy. Rozbili tłum studentów i ruszyli w kierunku bandy Komet. Tam stwierdzili, że awantura jest już gotowa. Przemawiający mówcy zostali zepchnięci na siebie. Między członkami grup, które przyszły wystawić demonstracje przeciw kosmitom, wybuchły walki. Bijatyka rozprzestrzeniła się nawet na pojedyncze osoby.

Przeraźliwie wyły syreny policyjnych samochodów. Wozy poszczególnych oddziałów pospiesznie ściągano z podmiejskich ulic, i kierowano przeciwko zamieszkom. Syreny spowodowały gwałtowny napór tłumu. Falował dziko zarówno w kierunku z którego dobiegały sygnały policyjne, jak i w przeciwnym, w miarę jak błyski świateł i przemieszczające się syreny, zaczęły się koncentrować wszędzie dokoła. Biegnące postaci skierowały się ku drzwiom do hallu budynku telewizji. Członkowie gangów Najlepszych, Komet i Maharadżów i pozostali fanatycy pognali w górę schodów. Na zewnątrz studia, z którego emitowana była ogólnoświatowa transmisja, zapalony był napis „*Nagranie w toku*". Bod nim były drzwi. Otworzyli je.

Oglądający transmisję świat, usłyszał nagle jak w wymuszone pytania dotyczące dzieci, zadane przez jednego z laureatów nagrody Nobla, wtopiła się wrzawa. To nie był zaplanowany atak. To była całkowicie chaotyczna bieganina ludzi, którzy już na początku byli częściowo rozhisteryzowani, następnie zostali stłoczeni w bezsensownie przewalającym się tłumie, a potem wepchnięci przez trudny do wytrzymania ścisk do hollu budynku, z którego uciekli przez labirynt korytarzy i przez pomyłkę wpadli do studia w którym trwała właśnie transmisja. Robotnicy i operatorzy urządzeń scenograficznych ruszyli w ich kierunku, aby ich wyrzucić. Hałas jednak stawał się coraz większy, podczas gdy Linda Beach próbowała dzielnie go zakamuflować.

Nie było to łatwe. A tak naprawdę, to było już zupełnie niemożliwe. Jeden z Najlepszych został przyparty przez dwu operatorów i rzucił się tryumfalnie przez tę świętą przestrzeń, obszar w polu widzenia kamery. Przebiegł za Lindą Beach, która akurat miło się uśmiechała i mówiła najgłośniej jak tylko mogła, aby zatuszować panujący dokoła hałas. Najlepszy przebiegając potrącił ją i złapał za naszyjnik. Linda Beach zatoczyła się, a jej naszyjnik pękł, podczas gdy młody przestępca, zanurkował w tłum przy drzwiach, oczyszczając sobie drogę, aby zgubić się w tłumie na zewnątrz.

Teraz jednak gliniarze z podjeżdżających samochodów, zabrali się już do roboty.

Hall został już częściowo oczyszczony. Uciekinierzy z zamieszania podążali wzdłuż ulicy, gdzie byli ponaglani by przechodzić dalej i odchodzić. Tak też robili.

Soames przedostał się z powrotem do studia. Wywalczył sobie drogę przez ciżbę w stanie szalonej, rozgrzanej do białości pasji i niepokoju, ponieważ Gail była dokładnie tam, gdzie ten obłąkany tłum mógłby ją stratować i zadeptać. Przedarł się wściekły do środka i dopiero wtedy zobaczył, że stała we względnie spokojnym miejscu, poza strugą kotłującej się ciżby.

Nagle pojawił się obok niego Fran i zaczął gwałtownie pociągać go za rękę. Jego oczy płonęły. Popychał gdzieś Soamesa i szaleńczo powtarzał to słowo jego skąpego słownictwa angielskiego, które wydawało mu się pasować do sytuacji. Słowo brzmiało: „Spróbuj! Spróbuj! Spróbuj!". Złapał Soamesa dookoła bioder i zapiął na nich pas.

Soames nagle odniósł wrażenie jakby oszalał. Stał w studiu, gdzie tumult do tej pory prawie już został zlikwidowany. Ale jednocześnie spoglądał na siebie z dołu, z poziomu własnej piersi. Był również na dole, w hallu budynku telewizji, przeciskając się tam ze szczuplejącym tłumem, pozwalając aby wypchnięto go na zewnątrz, na ulicę, gdzie został otoczony przez ludzi wyższych niż siebie. Ta cząstka jego świadomości, która znalazła się na dworze, przemieszczała się szybko w kierunku zachodnim. To ona również włożyła ręce do kieszeni — ale sam Soames nie miał z tym działaniem nic wspólnego — i wyczuwała w niej różne rzeczy. Czuł pod palcami łańcuch nanizanymi na niego ostro zakończonymi, wielościennymi przedmiotami. Wymacał również zwinięty w kieszeni pas, z przymocowanymi do niego metalicznymi obiektami o znajomym kształcie…

– Spróbuj! – rozpaczliwie płakał Fran. – Spróbuj!

I nagle Soames wszystko zrozumiał. Słyszał dźwięki uliczne poprzez uszy innej osoby. Widział ulicę czyimiś innymi oczyma. Jednocześnie widział siebie samego w studiu za pośrednictwem oczu jeszcze kogoś innego, Frana. I to wyjaśniło zachowanie dzieci z szczeniakami, lekcjami angielskiego i z tymi wszystkimi sytuacjami, kiedy wydawały się coś wiedzieć wszystkie, podczas gdy poznało to tylko jedno z nich. Dzieci nie były telepatami, nie mogły czytać nawzajem ze swoich myśli. Ale któryś, a może wszystkie, z dekoracyjnych kwadratów i okręgów na ich pasach, umożliwiał im odbieranie tego co czują pozostali, ich wrażeń zmysłowych. Były zarówno nadawcami jak i odbiorcami wrażeń przekazywanych przez zmysły. A ponieważ Soames miał na sobie pas Mal, a więc mógł widzieć to co widzi Fran, słyszeć to co słyszy Fran, a także widzieć, słyszeć i czuć to co widział, słyszał i czuł młody człowiek o tłustych włosach, jeden z Najlepszych, który miał w swojej kieszeni pas Hoda, obok naszyjnika Lindy Beach zerwanego jej z szyi pod samym okiem kamery.

Nie było jednak żadnego znaku, aby tłustowłosy człowiek słyszał, widział lub czuł to samo co Soames. Być może dlatego, że nie założył pasa, a tylko niósł go zwiniętego w kieszeni.

– Dobrze! – powiedział szorstko Soames. – Odzyskam to!

Zanurkował w kierunku drzwi studia. Stali tam już ludzie z Secret Service, wyznaczeni do pilnowania dzieci. Soames schwycił jeden z ich za ramię.

– Dzieci zostały obrabowane – pstryknął palcami w uchu człowieka z Secret Service. – Tajne urządzenie! Musimy je koniecznie odzyskać! Potrafię tego dokonać! Niech pan idzie ze mną!

Człowiek z Secret Service natychmiast poszedł za nim. Soames przedarł się przez wystraszonych ludzi, nadal kręcących się wokoło bez celu. Policjant z wozu patrolowego podszedł by sprawdzić powód jego pośpiechu, i człowiek wywiadu zziajany wysapał swoją identyfikację i co się stało. Policjant rzucił wszystkie inne sprawy i ruszył także z nimi.

Aby zobaczyć to, co widział Najlepszy, Soames musiał zamknąć oczy. Biegnąc zamknął je jedynie na chwilkę, na trzy oddechy. Najlepszy teraz już szedł. Dołączył właśnie do dwóch przyjaciół. Soames słyszał jego głos, czuł nawet ruchy jego warg i języka podczas mowy. Chwalił się, że zerwał korale z szyi Lindy Beach i zdobył też fantastyczny pas, jeden z tych noszonych przez zabawnie ubrane dzieci.

W połowie dużego budynku do chełpiącego się złodzieja dołączyło kolejnych dwu Najlepszych. Oni również usłyszeli o jego wielkim wyczynie. Najlepszy wyciągnął częściowo swoją zdobycz z kieszeni, aby udowodnić swoje przechwałki. Wszyscy przyglądali się i chełpili wykrzykując do innych z ich towarzystwa.

Soames popędził dookoła rogu ulicy, skręcając bez ostrzeżenia. Człowiek z Secret Service i policjant zostali za nim o pół tuzina kroków. Soames gnał przed siebie jak wiatr. Na chodniku przy Ósmej Alei zebrało się już cała grupa starszej młodzieży. Wszyscy chcieli zobaczyć łupy.

Soames rzucił się w ich kierunku. Bez słowa złapał i przewrócił na ziemię tego, w którego kieszeni ciągle spoczywał pas Hoda i naszyjnik Lindy Beach.

Ich reakcja była natychmiastowa. Najlepsi byli zgraną grupą. Soames uderzył, złapał i przycisnął do ziemi jednego spośród nich. Pozostali natychmiast więc zaatakowali jego, tak jakby chodziło o nich samych. Wpadli w szał i brutalnie go kopali.

Ale policjant i człowiek z Secret Service byli już na miejscu. Uderzyli na nich. Najlepsi odwrócili się by walczyć, ale zamiast tego uciekli na widok dwóch dorosłych już wymierzających karę tym, którzy dostali się im w ręce i szykujących się do tego aby złapać pozostałych.

Dwóch funkcjonariuszy postawiło Soamesa na nogi. W ciągu kilku sekund został poważnie poturbowany. Wyciągnął z kieszeni schwytanego pas Hoda. Najlepszy był na wpół uduszony, mocno zszokowany i obecnie okropnie blady ze strachu. Zabrał mu również skradziony naszyjnik. Przypadkiem poczuł pod palcami jeszcze zgubiony kamień lub dwa.

– W porządku – powiedział zmęczony. – Mam wszystko. Wracamy do dzieci.

Najlepszego zabrał gliniarz. Soames i człowiek z Secret Service wrócili do studia. Show trwał nadal. Wyczerpany Soames wręczył Hodowi jego pas i zdjął drugi z pasów, który założył mu Fran. Oddał go Franowi. Oczy Frana ciągle płonęły gniewem, ale potraktował Soamesa z wyraźnym szacunkiem. Być może nawet go w końcu polubił. Soames trzymał w ręku również odzyskany naszyjnik dla Lindy Beach, starając się jej go pokazać, chociaż ciągle stała przed kamerą.

Była wytrawną aktorką. Bez zmrużenia oka zmieniła to co miała powiedzieć, prosząc Gail, by dzieci zademonstrowały urządzenia, które zabrały ze zniszczonego statku, i podeszła do Soamesa. Szybko przeliczyła kamienie i zadała kilka pytań.

Powiedział jej wszystko. I tak musiałoby to wyjść na jaw. Dzieci miały, wbudowane w swoje pasy, urządzenia, które dawały efekt podobny do telepatii. Ale to nie była telepatia. Niewątpliwie urządzenia mogły być włączane i wyłączane. Po założeniu pasów, łączyły one razem zmysły wszystkich, którzy mieli je na sobie, nie myśli, ale zmysły. Każdy widział to co

widzieli pozostali, słyszał to co słyszeli pozostali i czuł to co reszta. Ale myśli nie były współdzielone. Takie urządzenie nie powinno powodować dezorientacji podczas użycia, a dwóch ludzi pracujących razem mogło współdziałać z tysiąc razy większą efektywnością niż bez niego. Dzieci bawiąc się wspólnie były w stanie osiągnąć stopień zrozumienia, niemożliwy do osiągnięcia w innym przypadku. A czwórka dzieci podczas desperackiej podróży, bez dorosłych, którzy mogli by im dodawać otuchy, bez wątpienia potrzebowała takiego bliskiego związku ze swoimi towarzyszami. To dawało im oparcie i odwagę. Dzięki temu mogły być bardziej śmiałe i rezolutne.

Linda Beach wróciła na swoje miejsce przed kamerą i czekała aż zakończona zostanie, prowadzona przez Frana, demonstracja kieszonkowego urządzenia do cięcia metalu. Wtedy zasygnalizowała operatorowi własnej kamery i zdecydowanie uruchomiła swój urok. Pokazała odzyskany naszyjnik. Stwierdziła również, że został on przed chwilą skradziony. Powiedziała następnie, że dzieci były telepatami i dzięki odczytaniu umysłu przestępcy został on wyśledzony na zatłoczonych ulicach na zewnątrz studia, a naszyjnik odzyskany.

Zawsze lepiej powiedzieć coś, co nie do końca jest prawdą, ale jest w pełni zrozumiałe, niż coś co jest prawdziwe ale dezorientujące. To jest kardynalna reguła telewizji. Nigdy nie wprawiaj swojej widowni w konsternację! A więc Linda Beach nie chciała dezorientować widowni poprzez dokładne wyjaśnianie stanu faktycznego. Zamiast tego powiedziała coś co wszyscy powinni być w stanie zrozumieć. Dzięki temu uczyniła dzieci czymś znacznie więcej, niż po prostu zwykłymi dziećmi.

To wybiło jej ogólnoświatową widownię z tego uczucia oszołomienia, w jakie wprawił ją profesjonalizm transmisji. To poderwało ludzi ze stojących przed telewizorami foteli, w których wcześniej wygodnie sobie siedzieli. Spowodowało również uniesienie włosów na głowach części widowni, zdającej sobie sprawę z tego, że potwory z kosmosu, które były w stanie czytać ludzkie myśli, byłyby absolutnie niezwyciężone. Wprawiło ich to w niesamowite przerażenie. Nieważne jak dzieci wyglądały, teraz zostały one zdemaskowane, podczas oficjalnej ujawniającej fakty transmisji, jako pozaziemskie potwory, które mogły czytać ludzkie myśli!

Rozpętało się piekło.

Raz powiedziane zdanie, nie mogło już zostać cofnięte. Można było temu zaprzeczyć, ale nikt by nie uwierzył. Wśród najwyższych warstw rządowych na całym świecie, wytworzyło to falę takiej wzburzonej nienawiści do dzieci i Stanów Zjednoczonych jednocześnie, że wszystkie poprzednie tego typu nastroje, w porównaniu z obecnym wydawały się być świętem miłości. W Rosji natychmiast uwierzono z ponurą determinacją, że wszystkie radzieckie sekrety wojskowe były właśnie w toku wyrywania ich z rosyjskich mózgów i przekazywania armii amerykańskiej. Wściekłość wywodziła się z bezradności wobec takiego stanu rzeczy. Nie było żadnego sposobu, aby powstrzymać tego rodzaju akcje szpiegowskie, a działania wojskowe nie rokowały sukcesu, jeżeli Amerykanie wiedzieli o wszystkim, jeszcze zanim tego w ogóle spróbowano. W bardziej spokojnych narodach powstało uczucie głębokiego skrępowania i gdzieniegdzie strachu. I wszędzie tam gdzie ludzie nienawidzili, kradli albo spiskowali — czyli w zasadzie wszędzie — wiara, że wszystkie sekrety stały dla dzieci otworem, napełniła serca ludzi wściekłością.

Ze wszystkich przedsięwzięć public relation, podejmowanych w ludzkiej historii, ta ogólnoświatowa transmisja dotycząca dzieci była najbardziej katastrofalnym posunięciem.

Soames i Gail mogli jedynie zrozumieć przyczyny takiego absurdalnego stanu rzeczy, bez żadnej nadziei powstrzymania całej afery albo jej naprawienia.

Gail i dzieci szybko wrócili z powrotem do ukrytej bazy w Górach Skalistych. Soames został w mieście, aby zajęto się jego lekkimi obrażeniami. Musiał również skontaktować się z dwoma fizykami, którzy widzieli dzieci i znali problem, a teraz ze znaczącymi skutkami wcielali się w role rozbitków. Potrzebne były mu długie i trudne konsultacje z ludźmi, którzy mogli spojrzeć krytycznie na wszystko co miał im do powiedzenia, ale również byli w stanie dać mu pewne wskazówki i rozwiać poważną część nękających go wątpliwości.

Tymczasem na świecie doszło, co prawda do ponurej i gniewnej, ale jednak znaczącej redukcji napięcia międzynarodowego. Żadne z państw nie ośmielało się zaplanować ukradkowych ataków na Amerykę, w obawie że zostaną one wykryte z wyprzedzeniem. Nikt nie ośmielał się również postawiać jakiegokolwiek ultimatum, gdyż Stany Zjednoczone mogły dokładnie wiedzieć w jakim stopniu stawiające je państwo było zdeterminowane w realizacji swoich pogróżek.

Kapitan Moggs pracowicie latała w tą i z powrotem, pomiędzy wschodnim wybrzeżem i ukrytą bazą rakietową, do której wróciły dzieci. Poinformowała Soamesa, że dzieciom zabrano zdobione pasy. Jeden z nich został otwarty i znajdujące się na nim okrągłe oraz kwadratowe medaliony, dokładnie przebadane. Jedna z ozdób bez wątpienia była pojemnikiem dla urządzenia przekazującego wrażenia zmysłowe. Znaleziono sposób, aby je włączać i wyłączać. Składało się ono jedynie z paru dziwnie uformowanych kawałków metalu. I to w zasadzie było wszystko, czego udało się dowiedzieć. Po skopiowaniu urządzenia, otrzymane duplikaty nie działały. Pozostałe medaliony, jak się wydawało, zawierały w środku jakieś urządzenia, ale cele ich działania nie zostały okryte. Jeden z nich miał, w zasadzie, w środku jakąś niewielką ruchomą część. Ale do czego ona służyła, nie zdołano się nawet domyślić.

Kapitan Moggs stwierdziła z niezachwianą pewnością siebie:

– To pewnie zajmie pewnie trochę czasu, ale dowiemy się do czego to służy. Oczywiście teraz raczej wszystkie badania skoncentrują się na urządzeniu telepatycznym. W końcu zostanie ono zbudowane i na długo wcześniej będziemy dokładnie poinformowani o uzbrojeniu i planach innych państw. To będzie coś wspaniałego! Nie będziemy już mieli powodu, by nieustannie obawiać się ataku i będziemy mogli ocenić każdą sytuację militarną z absolutną precyzją!

– Do diabła! – warknął Soames. – Te urządzenia nie mają nic wspólnego z telepatią! One nie służą do transmisji myśli! Wymieniają jedynie informację pochodzącą z organów zmysłu! I nie ma żadnego niebezpieczeństwa, że dzieci mogą cokolwiek odkryć za pomocą telepatii, ponieważ mogą one tylko dzielić się wrażeniami zmysłowymi z kimś noszącym specjalne urządzenie! Co one miałyby zrobić z informacjami o znaczeniu militarnym, nawet jeśli byłyby je w stanie pozyskać?

Kapitan Moggs tylko tajemniczo spoglądała. Odleciała i Soames ponownie gorzko przeklął sytuację, do powstania której sam się przyczynił. Ciągle jednak nie wiedział, co mógłby zrobić innego, niż zniszczyć potężne urządzenie sygnalizacyjne dzieci, którego chciały użyć kiedyś na Antarktydzie. Nadal jednak nie był zachwycony z powodu konsekwencji swojego czynu.

W końcu znalazł czas, by skontaktować się z fizykami, który swego czasu przyjechali z wizytą do bazy w Górach Skalistych. Znaleźli jeszcze kilku innych, który również byli w stanie postawić się w sytuacji rozbitków, wiedzących, że dane urządzenie można zbudować, i

próbujących zrobić coś, co może nie byłoby tym samym, ale miało pewne jego właściwości. Człowiek, który potrafi tak rozumować, nieodmiennie próbuje określić co da się zrobić na bazie wiedzy jaką posiada, zamiast bezproduktywnie wyobrażać sobie czego by chciał, a potem próbować to zrobić, nawet jeżeli wymagałoby to dopiero odkrycia wiedzy niezbędnej do realizacji tych planów. Sztuczka Soamesa, wymagała pewnego szczególnego rodzaju umysłowości. Na przykład, niezbędne było, aby potrafić sobie uświadomić, ograniczenia działania pożądanego urządzenia, albo w przeciwnym przypadku opracowany punkt wyjścia stawał się czystą fantazją. A z fantasmagorii nic pożytecznego nie mogło powstać.

Soames stwierdził jednak, że nawet wśród tych ludzi, którzy odnieśli największe sukcesy w stosowaniu jego sztuczki, szaleje powszechna frustracja. Pojawiały się ciągle nowe wynalazki. Bez wątpienia odnosili poważne sukcesy. Wyraźnie stali się pionierami postępu w nowych dziedzinach, nie w pełni osadzonych w teraźniejszości, ale również nie imitujących technologii dostarczonych przez dzieci. Wynalazki te nie mogły być jednak wykorzystywane. Nawet ich istnienie musiało pozostać w tajemnicy. Ponieważ pojawienie się jakiegokolwiek bezprecedensowego nowatorskiego projektu spowodowałoby nowy wybuch podejrzeń, że został on pozyskany od dzieci, a Stany Zjednoczone zapewniały — zgodnie z prawdą — że dotychczas niczego od nich się nie dowiedziano. Nikt jednak by w to nie uwierzył, gdyby w Stanach Zjednoczonych pojawiła się seria zdumiewających innowacji technologicznych.

I tak niechęć do Ameryki wzrosła do niespotykanych wcześniej rozmiarów. Wkrótce w działaniach krajów wyraźnie antyamerykańskich, zaczęły pojawiać się pewne ślady podejrzeń. Już przed transmisją, przeciw Ameryce, przygotowane zostały pewne brudne chwyty. Zostały one zrealizowane i odniosły sukces. Nie zostały one ujawnione, aż do chwili, kiedy było już za późno. Ktoś spróbował kolejnych. Nie zostały one przewidziane, ani powstrzymane. Natychmiast w regionach świata, gdzie Stany Zjednoczone były najbardziej nielubiane, zaczęły plenić się pewne kuszące idee. Ale nikt nie ośmielał się w nie uwierzyć — jak na razie.

Wtedy zniknął Fran. Tak jakby rozpłynął się w pustym powietrzu. W jednej chwili znajdował się na pilnie strzeżonym obszarze ukrytej bazy w Górach Skalistych. W następnej chwili już go nie było. Cały obszar bazy chroniony był przez trzy niezależne linie ogrodzenia elektrycznego, z wartownikami i zewnętrznymi posterunkami pilnującymi dostępu do terenu. A Fran zniknął tak, jakby go nigdy tam nie było. Trudno było sobie nawet wyobrazić, że mógłby uciec. Jego angielski nadal był bardzo ograniczony. Znajomość amerykańskiego stylu życia, kompletnie żadna. Nie mógł mieć nadziei na to, że uda mu się gdzieś ukryć, znaleźć jedzenie, ani w ogóle zrobić cokolwiek. Z drugiej strony zupełnie nie do pomyślenia było również, że mógłby zostać porwany ze ściśle tajnej bazy.

Soames natychmiast dostał miejsce na transportowcu lecącym do bazy w Górach Skalistych.

Kiedy zobaczył Gail, doznał wstrząsu.

Rozdział 8

Gdy zatrzymali się po drodze do domku i, gdy Soames w końcu ją wypuścił z ramion, uśmiechała się tylko lekko w ciemności.

– Kiedy to wszystko już się skończy, wiesz chyba że nasze dalsze życie spędzimy razem?

– Cieszę się że tak myślisz – powiedziała cicho. – Schudłam. Teraz nie jestem już taka śliczna. Wszystko dlatego, że bardzo się martwię, Brad.

Mruknął coś gniewnie pod nosem. Czuł wręcz wściekłość, spowodowaną faktem, że coś mogło zmartwić Gail.

– Powiedziałam dzieciom, że przylatujesz – dodała Gail. – Myślę, że ucieszą się gdy cię zobaczą. Wydaje mi się, że szczególnie polubił cię Fran, Brad.

– Jakieś wieści o nim?

– N-nie – powiedziała Gail dziwnym tonem.

– Czy on uciekł? – naciskał Soames. Szli przez łagodną, ciepłą ciemność zmierzchu, w kierunku domku, w którym Gail mieszkała z dziećmi.

Gail powiedziała cichym głosem:

– Ostrożnie! Nawet sama idea telepatii jest alarmująca. Wszystko jest na podsłuchu, Brad. Dzieci są obserwowane w każdej sekundzie. Myślę nawet, że mikrofony są …

Soames spojrzał groźnie.

– To kwestia bezpieczeństwa – powiedziała Gail. – Przyjęcie założenia, że dzieci mogą odbierać tylko wrażenia zmysłowe, i jedynie przy pomocy tych małych urządzeń w swoich pasach, byłoby zbyt dużym ryzykiem. Nikt nie był w stanie zmusić tych urządzeń przy pasach do zrobienia czegokolwiek więcej, nie mogą być jednak pewni…

– Przecież zabrali im pasy! – upierał się Soames.

– Tak. Ale nie wydaje się, aby to było wystarczające zabezpieczenie. Zniszczyłeś ich urządzenie sygnalizacyjne. Ale nie czujesz się bezpieczny. Oni zabrali im urządzenia przy pasach, ale też nie czują się pewnie. Boją się że dzieci umieją zrobić dużo więcej.

– I, pomyślałam sobie, że mądrze będzie powiedzieć o nas kapitan Moggs. Aby wyjaśnić dlaczego chcesz tutaj wrócić. Oni zdają sobie sprawę, że ja jestem po stronie dzieci i będę raczej je chronić. Znalezienie jakiegoś pretekstu, dla którego ty chciałbyś tutaj wrócić, wydawało się więc rozsądną rzeczą. Dzieci nie są popularne, odkąd uznano, że mogą być zdolne do czytania cudzych myśli. Chciałam więc, abyś mógł tu wrócić, bez żadnych podejrzeń o cieplejsze uczucia w stosunku do nich.

– Wróciłem więc tutaj tylko dzięki tobie – warknął Soames. – Czyli nie wolno okazywać, że ktoś mógłby w stosunku do nich zachować się przyzwoicie, co? – Potem nagle dorzucił. – Co do Frana…

– On uciekł – powiedział Gail z nutką wyzwania w głosie. – Później powiem ci więcej… być może.

Dotarli do domku i Soames uświadomił sobie, że wszystko co powie, najprawdopodobniej zostanie podsłuchane i zarejestrowane. Weszli do środka. Hod i młodsza z dziewczynek, Mal, leżeli na brzuchu na podłodze, zawzięcie pracując nad czymś, co mogło wyglądać na lekcje. Zani siedziała na krześle trzymając rozłożoną przed sobą książkę, a drugą ręką pozornie ochraniając oczy. Miała nieobecny wyraz twarzy.

Kiedy weszli, Hod mlasnął językiem. Zani włożyła szybko rękę do kieszeni i otworzyła oczy. Wcześniej miała je zamknięte. Książka była więc tylko rekwizytem, służącym do tego aby coś ukryć.

Soames doznał przebłysku olśnienia. Nosił pas z wbudowanym quasi-telepatycznym urządzeniem tylko raz, i to przez dosyć krótki okres. Kiedy miał go na sobie, był również szaleńczo zaaferowany i koncentrował się wyłącznie na wykorzystaniu go w celu odzyskania innego tego typu urządzenia, które zostało skradzione w studiu telewizyjnym, podczas chyba najbardziej katastrofalnego ze wszystkich przedsięwzięć public relations. Nie miał czasu na żadne eksperymenty; nie miał nawet czasu na przyzwyczajenie się do tego osobliwego uczucia przebywania w jednocześnie kilku ciałach. Nie miał więc również żadnej okazji, aby zbadać możliwości urządzenia. Jednak od tego czasu wypracował już sobie pewne poglądy.

Dlatego teraz wręcz intuicyjnie zauważył, co zrobiła Zani, kiedy wszedł do domku. Siedząc z zamkniętymi oczami, zasłaniając je ręką, musiała odbierać coś, co działo się w innym miejscu. Pozostała dwójka siedziała w zupełnej ciszy. Hod mlasnął językiem, aby ją ostrzec, że wchodzą Gail i Soames. Wtedy Zani szybko włożyła rękę do kieszeni i otworzyła oczy. Coś tam schowała. Soames był niemal pewien, że odbierała wiadomość od Frana, w warunkach nieustannej bezlitosnej obserwacji i wśród mikrofonów usiłujących wyłapać każde słowo.

A przecież pasy dzieci z nadajnikami i odbiornikami wrażeń zmysłowych, zostały im zabrane.

Mała Mal uprzejmie zapytała:

– Fran – Przerwa. – Gdzie jest?

– Sam chciałbym to wiedzieć – odpowiedział jej Soames.

– To chyba jedyna rzecz, o którą są obecnie pytane – powiedział Gail. – Ze względów bezpieczeństwa, może z nimi rozmawiać tylko kapitan Moggs, ściśle wyznaczony personel i policjanci szukający Frana. Rozmowy nie mogą dotyczyć informacji tajnych.

– Fran uciekł — dawno temu? Tydzień? Ponad? – Soames spojrzał ze zmarszczonymi brwiami. – Jak on może się ukrywać? Bardzo słabo zna angielski! Nie wie zupełnie jak się powinien zachowywać, a więc nie może pozostać niezauważony, nawet idąc normalnie ulicą!

Gail odparła z dziwną intonacją:

– Obawiam się, że ukrywa się gdzieś na jakimś odludziu. Nie wie jak zdobyć jedzenie. Grozi mu niebezpieczeństwo z powodu dzikich zwierząt. Strasznie się o niego boję!

Soames spojrzał na nią ostro.

– W jaki sposób uciekł?

– Włóczył się dookoła, tak jak to robią chłopcy – powiedział Gail. – Zaprzyjaźnił się co nieco z dziećmi jednego z sierżantów z załogi bazy. Zostało to zaaprobowane, wydawało się, że nie będzie w tym żadnej szkody. I pewnego ranka wyszedł stąd, tak jakby szedł bawić się z nimi, ale oni go nie spotkali. Odtąd już go nie widziano.

Hod znowu leżał na brzuchu, szalenie zaczytany w swojej książce, mamrocząc pod nosem angielskie słówka, w miarę jak przewracał strony i oglądał kolejne obrazki. Mal i Zani wodziły wzrokiem od twarzy Soamesa do Gail, i z powrotem.

– Rozumieją więcej niż potrafią powiedzieć – powiedziała Gail.

Soames przeszukał wzrokiem ściany pokoju. Gail powiedziała, że prawdopodobnie były w nich mikrofony. Spojrzał uważnie na Zani. Przypomniał sobie jej pozycję, kiedy wszedł, a następnie jej ruchy, szybkie włożenie ręki do kieszeni i otwarcie oczu. Z natężeniem wpatrywała się w niego. Potrząsnął ostrzegawczo głową i położył palec na wargach.

Wzięła głębszy oddech i dziwnie na niego spojrzała. Usiadł, aby porozmawiać. Gail, sprawiając wrażenie kogoś, kto robi coś zupełnie nieistotnego, poprosiła dzieci, aby pokazały swoje postępy w nauce angielskiego. Ich akcent był zupełnie dobry. Słownictwo nadal jednak nie było zbyt obszerne. Soames domyślił się, że Gail nieustannie ćwiczyła z nimi wymowę, a więc nie mogły poznać wiele nowych słów, tak by umiały odpowiadać na zadawane im pytania. Był to sposób na odłożenie w czasie presji jaka niewątpliwie będzie na nie wywierana.

Soamesowi jednak wydawało się że nabrała zbyt rodzicielskiego i opiekuńczego stosunku do dzieci, co nie było dobrym pomysłem. Powiedział z lekką ironią:

– Zawiodłem się na Franie. Nie powinien uciekać. Zrobił dla mnie parę szkiców z domu, takie tam rzeczy, jakie może zrobić chłopiec w jego wieku. Chciałbym dostać od niego więcej takich obrazków. Hmmm… Czy, kiedy zniknął, zostawił może gdzieś jakieś rysunki?

Gail potrząsnęła głową.

– Nie. Każdej nocy zbieram na kupkę do badań każdy skrawek papieru, użyty przez dzieci. Nie lubią tego. To im przeszkadza. Właściwie, to wydaje mi się, że eksperci od lingwistyki, próbują coś odkryć na temat ich języka, ale one odbierają to jako wrogi stosunek do nich. Są bardzo nerwowe.

– I słusznie – powiedział Soames. Wstał. – Jestem zawiedziony. Pójdę porozmawiać z ludźmi, którzy szukają Frana. Przejdziemy się do sklepu, Gail?

Gail również się podniosła. Zani wpatrywała się w Soamesa. Była zupełnie blada. Ponownie skinął jej głową.

Gail i Soames wyszli na zewnątrz, teraz już w zupełnie ciemną noc. Soames powiedział ochrypłym głosem:

– Może lepiej chodź do mnie bliżej.

Kiedy to zrobiła, powiedział gwałtownie:

– Kiedy się pobierzemy, wątpię, żebyśmy byli w stanie ukryć wiele rzeczy przed sobą na wzajem. Może więc lepiej już od teraz zacznijmy być szczerzy. Mogli sobie zabrać dzieciom te ich pasy, ale one i tak wymieniają między sobą wrażenia zmysłowe. Muszą mieć jakieś inne urządzenia o podobnym działaniu. Zani korzystała z niego kiedy weszliśmy do domku.

Kroki Gail nagle przycichły.

– C-co masz zamiar teraz zrobić?

– Daj im jakąś dobrą radę – powiedział Soames. – Powiedz dzieciom, że o tym wiesz. Wytłumacz, że ludzie z bezpieczeństwa mają trzy z czterech pasów, ktoś może więc założyć jeden i przechwytywać ich łączność. Wcześniej czy później dzieci zostaną złapane. Jeżeli Fran mówi na głos mogą przechwycić i zidentyfikować jego głos. Jeżeli Zani pisze i patrzy na to co napisała, tak by on mógł to przeczytać za pośrednictwem jej oczu, to jej ręka, czy też jej sukienka, które również znajdą się w polu widzenia, mogą ją zidentyfikować. Mówię ci o tym dlatego, abyś uświadomiła Zani, że komunikacja przez te ich nadajniki sensoryczne, może zostać podsłuchana. Wcześniej czy później tak się stanie. Musi opracować jakieś sposoby, by uniknąć identyfikacji. Jeżeli oni pomyślą, że więcej ludzi z jej rasy wylądowało na Ziemi, to wszystko w porządku. Ale będzie bardzo źle, jeżeli to ona zostanie schwytana na porozumiewaniu się z Franem.

Gail przez dłuższy czas milczała.

– To… to wszystko?

– Mniej więcej. Przeciw Franowi jestem tylko w jednej sprawie. Zrobię wszystko co będzie w mojej mocy, by powstrzymać go od wezwania swoich rodaków, aby tutaj przybyli. Nienawidzę siebie za to, ale to zrobię. Poza tym, czuję, że on jest tutaj z mojej winy. Nie chcę, aby ludzie, którzy koniecznie chcą się dowiedzieć wszystkiego co on wie, dokonali na nim psychicznej wiwisekcji, a nie wierzę też w to, aby istniały jakieś ograniczenia dla ich działań. Dopóki on jest daleko stąd, nie będzie prawdopodobnie ciężkich przesłuchań pozostałych.

– Te… rzeczy w pasie, są bardzo proste – niespokojnie powiedziała Gail, – a dzieci strasznie się przeraziły i zdenerwowały, kiedy im je zabrano. A więc Fran porozmawiał ze mną, i dostał parę kawałków metalu. To była miedź. I pilnowałam go.

Soames nie powiedział niczego.

– Wziął potem słomkę – kontynuowała Gail, – i użył jej jako czegoś w rodzaju rurki do dmuchania. Dzięki niej mógł kierować płomieniem świecy, którą dla niego zapaliłam. To była jakaś obróbka cieplna?

Soames w ciemności pokiwał głową.

– Mogła być. Sposób obróbki cieplnej mógł nadać metalowi wiele najróżniejszych właściwości, o których nawet nigdy byśmy nie pomyśleli – dodał ironicznie. – I to wszystko być może jest takie proste, że nawet chłopiec byłby w stanie to zapamiętać i zrobić!

– Zrobił sześć komunikatorów – powiedziała Gail. – Nalegałam na sześć. A potem wybrałam dwa, na chybił trafił, żeby mieć pewność. On i pozostałe dzieci pochowały gdzieś swoje. Wypróbowałam te dwa. Działają. Jeden jest oczywiście dla ciebie.

Coś włożyła mu w rękę. To było małe; niewiele większe niż zapałka.

– Musisz popchnąć za koniec. To działa dopóki nie pchniesz tego.

Soames nacisnął na jeden z końców, w którym znajdowało się coś, co w dotyku wydawało się być podobne do łebka szpilki. I pewnie było. Po chwili zobaczył nagle to co widziała Gail i poczuł to co czuła ona, swoją rękę ściskającą jej. Puścił natychmiast mały przedmiot i znów był tylko sobą.

– Wyłącz swoje urządzenie – szorstko powiedział. – Przypomnij dzieciom, że komunikacja przez tego rodzaju rzeczy może być przechwytywana.

– Powiem im – powiedziała Gail.

– Ich sytuacja jest dużo gorsza niż była – powiedział jej. – Jeszcze do niedawna cały świat chciał się od dzieci uczyć. Teraz wszyscy się boją, że to czego się dowiedzą, będzie dotyczyło również ludzi. Myślę, że wszyscy byliby naprawdę skłonni zrzec się możliwych benefitów z ich przybycia, gdyby z tego powodu miało im mogło się coś przydarzyć.

– Ale oni nie mogą podpatrzeć czyichś sekretów! – zaprotestowała Gail. – Wiesz, że nie są w stanie czytać myśli! Oni nie potrafią!

– Ale zdobyły sobie określoną reputację, i muszą z tego powodu cierpieć – powiedział Soames.

Byli wtedy już bardzo blisko rzekomego sklepu spożywczego. Gail położyła lekko swoją rękę na ramieniu Soamesa.

– Brad, proszę cię, bądź ostrożny.

Wszedł do sklepu. Przeszedł przez pomieszczenie magazynowe na tyłach, nacisnął przycisk i w zupełnie niespodziewanym miejscu otworzyły się drzwi windy. Wszedł do środka, i winda zjechała razem z nim trzysta stóp w głąb ziemi.

Leżąc ze Wschodniego Wybrzeża, przez cały niemal czas zatopiony był w ponurych rozmyślaniach na temat spraw dzieci, i rozwoju sytuacji w świecie od czasu ich przybycia. Fran miał pilną misję do wykonania, i uznał że musi podjąć pewne ryzyko. Nie mógłby tego zrobić w bazie pocisków rakietowych.

Fran czuł otaczającą całą ich czwórkę nienawiść, narastającą od czasu zakończenia transmisji. Wiedział, że nikt i nigdzie nie pomoże mu w tym, co musiał zrobić. A więc uciekł, po to aby jakoś spróbować wysłać sygnał, którego transmisji z rozbitego statku zapobiegł Soames.

Ale, dlaczego Fran musiał go wysłać? Dlaczego nie wykorzystano jakiegoś automatycznego urządzenia? Coś, co mogło mieć tak prostą budowę, że nie mogło by ulec uszkodzeniu…

I nagle znalazł wyjaśnienie tej sprawy.

Aż do tej chwili Soames uczepił się pomysłu, że dzieci przybyły z przeszłości tak odległej, że liczba pokonanych przez nie lat po prostu nie miała najmniejszego znaczenia. Przesłanki, które na to wskazywały, były przytłaczające, a jednak prawo zachowania masy i energii przeczyło możliwości podróży w czasie. Teraz, nagle, Soames przed oczyma stanęła niesłychanie prosta odpowiedź. Podróż w czasie była możliwa, pod warunkiem, że spełnione zostały pewne niezbędne warunki. Te warunki musiały przede wszystkim nieuchronnie wytworzyć monstrualny wybuch zakłóceń, implozję, która wywołała trzęsienie ziemi i falę dźwiękową, słyszalną w odległości osiemdziesięciu mil. Kiedy jednak kanał komunikacyjny pomiędzy dwoma ramami czasowymi został już ustanowiony…

Ucieczka Frana, natychmiast stała się czymś dużo bardziej alarmującym. Już nie chodziło po prostu o bezpieczeństwo samego chłopca. Była więc chyba tylko jedna rzecz, jaką Soames mógł zrobić. Powiedział, że nie jest wrogiem Frana. Ale musi coś zrobić, aby powstrzymać go przed realizacją misji z którą został wysłany.

Tak więc kiedy Soames wyszedł z windy prowadzącej z wiejskiego sklepu, od razu poszedł do dowódcy ochrony.

– Jestem bardzo zaniepokojony ucieczką tego chłopca, jak on się nazywał… Frana – powiedział. – Czy mógłby mi pan powiedzieć, co się stało?

– Ba, chciałbym żeby mi też ktoś to wyjaśnił! – powiedział ochroniarz zmęczonym głosem. – Jeśli uciekł, to musiał chyba mieć skrzydła u ramion. A teraz jest gdzieś na zewnątrz, i to mnie po prostu przeraża! Słyszał pan przecież o tych telepatycznych urządzeniach, zamontowanych w noszonych przez dzieci pasach? Zabraliśmy je im. Jedno z nich rozłożyliśmy na części, ale pozostałe są nadal sprawne. Wypróbowaliśmy je na sobie. Kiedy założy je dwu ludzi, i obydwa pasy są włączone, tworzy się między nimi jakiegoś rodzaju połączenie, polegające na częściowym czytaniu nawzajem własnych myśli. Każdy z ludzi wie co ten drugi robi i widzi. A więc przy pomocy tego niczego urządzenia, jeden człowiek sam nie może zrobić. Dwóch ludzi może zrobić bardzo dużo. Niektórzy sugerują, że jeśli już opanują tę sztukę, to trójka połączonych ludzi, będzie dysponować pełnymi umiejętnościami telepatycznymi, z czytaniem myśli i tego typu rzeczami. Nie udało nam się jednak dowiedzieć jak to zrobić.

Soames pokręcił z niedowierzaniem głową, zdumiewając się zdolnością rodzaju ludzkiego, do znajdowania powodów, pozwalających uwierzyć we wszystko, w co tylko się chciało, czy to dla zwykłej próżności, czy też z chęci wystraszenia siebie na śmierć.

– Na początku, kiedy zabraliśmy dzieciom pasy, – kontynuował funkcjonariusz ochrony, – myśleliśmy że gdzieś na Ziemi mogą się kryć jacyś inni ludzie z ich rasy, którzy próbują znaleźć sposób, na ich uwolnienie. Nosiliśmy pasy włączone przez całe dnie i noce. Nic. A więc zaprzestaliśmy monitorowania. Wtedy uciekł ten Fran, i zaczęliśmy monitorować od nowa, próbując zlokalizować każdy z działających tego typu pasów, o którym nie wiedzieliśmy. I natychmiast udało nam się przechwycić podobne sygnały!

Soames uważnie mu się przypatrywał. Przecież jednego z takich instrumentów używała Zani.

– Początkowo ludzie noszący jeden z tych pasów – powiedział ochroniarz, marszcząc brwi, – zupełnie niczego nie czuli. Kompletnie nic się nie działo. Ale po kilkunastu, może, godzinach, a najwyżej po dniu czy dwóch, jeden z nich siedząc z zamkniętymi oczyma, nagle zobaczył kartkę z obcym pismem. Podobnym do tego, jakim piszą dzieci. Niestety nie można było go sfotografować, ponieważ obraz jest tylko w głowie osoby, która go widzi. Nie potrafimy też zrozumieć co tam było napisane. Nie znamy tego alfabetu. Również słowa pochodzą z języka, którym dzieci rozmawiają między sobą. Wydaje mi się, że to jakiś statek, który nadaje do nich wezwania. Ich treść jest drukowana. Gdyby dzieci miały swoje pasy i je włączyły, mogłyby je przeczytać. Ale ich pasy są u nas. A więc ten Fran, wydostał się na wolność, aby spróbować znaleźć jakiś sposób odpowiedzi na te wezwania.

Soames nie odpowiedział. Czuł coś w rodzaju smętnego rozbawienia, zarówno w stosunku do funkcjonariusza ochrony, jak również do siebie.

Niedawani z olbrzymim wahaniem zmusił się do tego, by zaproponować Gail sposób w jaki dzieci mogłyby porozumiewać się z Franem, tak by nie zostały złapane. One jednak same już wcześniej wymyśliły jak to zrobić. Tak więc ochrona ukuła tę teorię statku kosmicznego, unoszącego się gdzieś w pobliżu, wysyłającego na Ziemię tajemnicze wiadomości, do czwórki dzieci ukrytych gdzieś na jej powierzchni. Nie było żadnego statku. Był tylko Fran, desperacko próbujący wykonać zadanie, z którym ich tutaj wysłano, i próbujący utrzymywać kontakt z pozostałą trójką towarzyszy, poprzez maleńkie urządzenia, które zrobił za pomocą skrawków miedzi, słomki i płomienia świeczki. I to było tak naturalne, że nikt tego się nie domyślił!

– Jak on zdobywa coś do jedzenia? – zapytał Soames. – Nie ma żadnych pieniędzy, a w dodatku nie zna angielskiego i nie wie jak się zachowywać…

– Jest sprytny – ponuro powiedział dowódca ochrony. – W dzień się chowa. W nocy… Ludzie zwykle nie mówią policjantom o butelce mleka znikającej z ich progu. Sprzedawca nie donosi o jednym bochenku chleba, którego brakuje w paczce pozostawionej pod jego sklepem przed świtem. Zabierze bochenek chleba dzisiaj, butelkę mleka jutro. Czasami przeskoczy jeden dzień. Ale domyśliliśmy się tego. Sprawdziliśmy każde miasteczko w promieniu pięciuset mil stąd. Kierowcy samochodów dostawczych, rozwożących chleb, wypytywali we wszystkich sklepach spożywczych. Czy zginął jakiś chleb? Mleczarze wypytywali swoich klientów. Czy ktoś podkrada pańskie mleko? Dowiedzieliśmy się, gdzie był, w Bluevale, w pobliżu Zapory Navajo, wie pan. Postawiliśmy gliniarzy, żeby pilnowali.

Wczoraj rano, prawie udało się nam go dostać. Przyszedł po bochenek chleba. Gliniarz strzelił do niego pięć razy, ale chłopak uciekł. Musiał jednak porzucić chleb.

Soames chciał się zapaść pod ziemię. Fran miał może ze czternaście lat i był mocno zdesperowany, ponieważ zależał od niego los całej cywilizacji, którą miał ocalić przed zniszczeniem spadającym z nieba. Był zbiegiem w naprawdę dziwnym świecie.

Wtedy do Soamesa dotarło co przed chwilą usłyszał, i momentalnie poczuł zupełną suchość w ustach. Fran został ostrzelany w Bluevale, które było blisko Zapory Navajo. Zapora Navajo generowała prawie tyle energii elektrycznej, co sama Niagara.

– Miałem co do tego wszystkiego pewne pomysły – powiedział dowódca ochrony z pewną surowością w głosie. – Dziecko przeszło przez trzy ogrodzenia pod napięciem i nie wiemy jak. Musi dużo wiedzieć o elektryczności. Więc zacząłem zastanowić się, czy mógłby próbować odpowiedzieć na ten transmitowany sygnał, swoim własnym sygnałem. Był w Bluevale. Sprawdziliśmy to. Kilka dni temu, dekarz zgubił kilka arkuszy blachy miedzianej. Ktoś ukradł w sklepie, czterdzieści, pięćdziesiąt stóp kabla miedzianego o dużym przekroju i uciekł z nim. Mężczyzna ukradłby całą szpulę. To musiał być dzieciak, który uciął tyle ile tylko zdołał unieść. Rozumie pan?

– Jak wiemy, gdzieś w pobliżu Bluevale, próbuje zbudować coś, co będzie mu do czegoś przydatne. Będzie potrzebował narzędzi. Całe Bluevale roi się wręcz od gliniarzy w mundurach i po cywilnemu. Całe miasto zostało teraz zamienione w jedną wielką pułapkę na tego dzieciaka. I policjanci będą strzelać! Ponieważ nie wiemy, co on może zrobić. Jeżeli te dzieci mają coś, zrobionego przez dorosłych, co pozwala czytać myśli, to być może on zrobi coś co zupełnie wypali umysł! On wygląda jak człowiek, ale przybył s kosmosu, Bóg wie skąd. Może zrobi jakieś promienie śmierci!

Soames przełknął ślinę. Wiedział co chciał zrobić Fran. Zwykły emiter promieni śmierci byłby rzeczą trywialną, o lokalnym znaczeniu, wobec konsekwencji tego co desperacko próbował zrobić Fran aby uratować swoich rodaków.

Usłyszał siebie, mówiącego coś względnie uspokajającego.

– Być może – zauważył, – on nie jest wcale taki niebezpieczny. Martwi się pan tym, jak przeszedł przez te ogrodzenia pod napięciem. Użył szczudeł. Wiedział o nich. Kiedyś bardzo go zainteresowały. Musiał więc zrobić parę, o wysokości jakichś siedmiu albo ośmiu stóp, i nauczył się na nich chodzić. A potem po prostu znalazł jakieś drzewo blisko ogrodzenia, wszedł na nie i założył szczudła, a następnie podszedł do ogrodzenia i je przekroczył. W jego wieku nie rozumie się jakie to niebezpieczne. Zrobił to i przekradł się w jakiś sposób przez posterunki… Mógł to zrobić bez problemu!

Dowódca ochrony zaklął głośno.

– Tak! Cholera jasna, tak! Powinniśmy dokładniej go obserwować!

– Chciałbym wrócić na Wschód – powiedział Soames.

– Kiedy chce pan wylecieć? – zapytał ochroniarz.

– Zaraz – powiedział Soames. – Rozpoczęliśmy pewien projekt, do pewnego stopnia związany z urządzeniami dzieci, chociaż nie rozumiemy ich działania. Im szybciej tam wrócę, tym lepiej.

Dowódca ochrony skorzystał z telefonu. Stwierdził, że jeden z samolotów, powinien wkrótce wystartować. Soames nie mógł tym samolotem dostać się co prawda bezpośrednio na Wschodnie Wybrzeże, ale mógł polecieć na lotnisko wojskowe w Denver, a dalej przejechać taksówką do cywilnego portu lotniczego, z którego miał już połączenia na Wschód.

Zanim wyruszył w podróż, podejrzewał, że być może będzie musiał wziąć udział w poszukiwaniach Frana. Oczyścił więc swoje konto bankowe i wypchał kieszenie gotówką. Pół godziny później, był już na pokładzie odlatującego samolotu.

Po dwugodzinnym locie, Soames znalazł się w Denver. Po trzech godzinach, zgubił się tak, że jego odnalezienie było niemożliwe. Zamiast lecieć samolotem, wyjechał z Denver międzymiastowym autobusem i wysiadł w maleńkim miasteczku, którego nazwy nawet nie zauważył. Nocą, z zamkniętymi oczyma i w cichym pokoju hotelowym w małym miasteczku, przycisnął jeden z końców miniaturowego urządzenia, które zrobił Fran i dała mu Gail.

Po raz kolejny, poczuł to dziwne doznanie. Jednocześnie zamieszkiwał dwa ciała. To było niesamowite. Drugie ciało nie zrobiło zupełnie nic. Tylko oddychało i czekało. Ktoś w ukrytej bazie, z której przybył, miał założony pas jednego z dzieci i cierpliwie czekał aby podsłuchać jakąkolwiek wymianę informacji, z wykorzystaniem podobnych urządzeń.

Soames poczekał do rana. Bardzo wcześnie, znowu z zamkniętymi oczyma i z ciałem ułożonym tak wygodnie, ze nie odczuwał żadnych doznań, nacisnął na koniec miniaturowego instrumentu. Zobaczył pismo, podobne do tego, jakiego dzieci używały do sporządzania notatek w czasie lekcji języka angielskiego. Szybko namacał włącznik urządzenia wielkości główki szpilki, zwalniając go. Zapalił światło i otworzył swój notatnik. Znalazł stronę na której znajdowały się dwa rysunki. Na pierwszym z nich była narysowana przez chłopca płoza sań powietrznych. Fran naszkicował ją dla Soamesa w samolocie lecącym do Nowego Jorku przed katastrofalną transmisją. Drugi rysunek był szkicem chłopca na szczudłach. Soames narysował go dla Frana. Nikt poza Soamesem nie mógł patrzeć na te rysunki, tak by Fran mógł widzieć je jego oczami. Były one jednocześnie wezwaniem i identyfikacją Soamesa, jako osoby używającej urządzenia podobnego do małej miedzianej zapałki, z wyzwalaczem wielkości łebka od szpilki.

Włączył urządzenie ponownie, kiedy już patrzył na rysunki. Ponownie poczuł, że współdzieli wrażenia zmysłowe z dwoma innymi ciałami, nie z trzema. Momentalnie przekonał się o obecności trzeciej osoby. Cała trójka trzymała oczy mocno zamknięte. W tej chwili wszyscy pozostali patrzeli więc przez jego oczy, widząc jakieś niezdarne szkice, które miały znaczenie jedynie dla dwojga z nich. Soames poczuł, że słyszy jakiś przytłumiony odgłos, bardzo przypominający zduszony chichot.

Potem poczuł, jak jedno z ciał podaje sobie samo rękę. To musiał być Fran, który potwierdził wiadomość podaną za pomocą rysunków, o których mógł wiedzieć jedynie Soames. Podał sobie rękę, aby mógł doświadczyć tego Soames. Potem podrapał się po kolanie, tak jak drapie się psa, ponieważ robił to z Rexem na Antarktydzie. W ten sposób precyzyjnie się zidentyfikował. Jedno z pozostałych ciał, z którymi był połączony Soames, poruszyło się niespokojnie. To musiał być oficer ochrony, który miał założony pas, przekazujący mu odbierane wrażenia zmysłowe. Nie miał jednak żadnego pojęcia, o tym kto z kim się komunikował, a drapanie i jakieś gryzmoły, w ogóle nie miały dla niego żadnego znaczenia. Mógł tylko wyczuć, że niesamowite doświadczenie skończyło się kiedy ktoś potrząsnął swoją ręką i to było wszystko. Połączenie zostało przerwane.

Soames wstał i zaczął się ubierać, z głową wypełnioną najróżniejszymi przeczuciami. Fran nie chciał się z nim spotkać. Soames przekazał mu ostrzeżenie o pułapce i zbliżających się łowcach. Ale mino to Fran nie chciał się z nim spotkać. Wyglądało to wszystko niedobrze.

O dziesiątej rano, poszedł i kupił używany motocykl. Znał się trochę na motocyklach. Do trzeciej po południu przedostał się na motocyklu do Bluevale. Dla niego, ponieważ zwracał

uwagę na te sprawy, ewidentna była niezwykła koncentracja ludzi na ulicach tego małego miasteczka. Fran mógłby tego nie zauważyć, ale Soames dostrzegał to bez trudu. Sam specjalnie nie rzucał się w oczy. Kupił wcześniej skórzaną kurtkę i czapkę, jechał poobijanym motocyklem. No i przede wszystkim, nawet w najmniejszym stopniu nie był podobny do Frana, którego poszukiwano.

Przejechał niby bez celu po Bluevale, a następnie ruszył szeroką gładką autostradą, do małej wsi Zapory Navajo — na krawędzi dużego jeziora. Tama rozciągała się tuż za nią, tak więc spokojnym tempem ominął wioskę i ruszył dalej tą samą autostradą, która przechodziła po szczycie tej masywnej konstrukcji. Woda w jezioro po prawej stronie, spiętrzała się do poziomu kilku stóp poniżej poziomu autostrady. Po lewej stronie była przepaść, z krętą drogą dla ciężarówek, prowadzącą na dół, do budynków elektrowni, stojących u stóp tamy.

Soames denerwował się. Przejechał dwie mile dalej, i zatrzymał się w lesie, wciągając motocykl w zarośla tak by nie było widać go z drogi. Ułożył się tak wygodnie jak to tylko było możliwe, starając się uniknąć przekazania jakiejkolwiek informacji o tym, gdzie się znajduje. Zakorkował sobie uszy, tak by nie docierały do nich dźwięki z lasu. Od czwartej do ósmej, w nieregularnych odstępach, włączał urządzenie łączności sensorycznej, na sekundę lub dwie za każdym razem. Ciągle rozpoznawał wrażenia zmysłowe człowieka, znajdującego się w ukrytej bazie pocisków rakietowych, noszącego jeden z pasów dzieci i monitorującego komunikację sensoryczną. Między siódmą a ósmą, tożsamość tego człowieka zmieniła się. Ktoś inny zajął miejsce poprzedniego.

O godzinie dziesiątej pojawiło się najkrótsze z możliwych odczucie obecności trzeciej osoby. Soames rozpoznał, że to był Fran. Szybko podał sobie rękę. Fran powinien zrozumieć to jako pozdrowienie. Soames chciał w ten sposób zaproponować rozmowę, ale poczuł tylko małe, gładkie ręce chłopca potrząsające sobą w odpowiedzi i Fran przerwał kontakt.

Już nie wrócił.

O północy Soames wyciągnął swój motocykl z lasu i wyjechał na autostradę. Powoli jechał z powrotem do Bluevale. Zatrzymał się poza miastem, w przydrożnym barze z hot-dogami, i tam czekał na jakiś inny sygnał.

Do pierwszej nic się nie zdarzyło. Soames był wystarczająco blisko miasta, aby usłyszeć jakiś ewentualny tumult, a już z pewnością musiałby usłyszeć strzały.

Do drugiej i trzeciej — nic.

O godzinie czwartej, nagle bez najmniejszego ostrzeżenia całą okolicę zalała powódź przeraźliwie jasnego, rażącego w oczy, niebiesko-zielonego światła. Pochodziła z przepaści poniżej Zapory Navajo. Latarnie palące się wzdłuż łukowatej krawędzi szczytu tamy pogasły chwilę wcześniej. Podobnie zgasło oświetlenie uliczne Bluevale i małej wioski Zapory Navajo. Okolica tonęła już w kompletnej ciemności, kiedy z dna przepaści ku gwiazdom wystrzeliła przeraźliwie jasnym ogniem, struga niebiesko - zielonego płomienia.

Po chwili ona również zgasła.

Soames, z lodowatym przerażeniem, nacisnął koniec urządzenia sensorycznego. Poczuł ból, świdrujący, nieznośny ból. Usłyszał głos Frana z trudem łapiącego oddech:

– *Spróbuj! Spróbuj! Spróbuj!*

Poczuł, jak ciało Frana skręca się z bólu, i zobaczył że oczy Frana patrzą w górę na gwiazdy, a kopuła gwiaździstego nieba obcięta jest z jednej strony przez łukowatą masę monstrualnej betonowej tamy

Soames podał sobie rękę. Później puścił przycisk. Momentalnie uruchomił motocykl i z wizgiem opon ruszył w kierunku zapory. Nie wcisnął ponownie przycisku urządzenia sensorycznego, dopóki nie przemknął w szaleńczym tempie przez wioskę i nie zjechał przeraźliwie krętą drogą dla ciężarówek do budynków elektrowni. Kiedy tam dotarł, natychmiast zgasił silnik i usłyszał głośne, podniecone i zaalarmowane głosy ludzkie. W pobliżu widać było również słabe rozbłyski świateł latarek.

Znalazł Frana, leżącego skulonego na ziemi, i rozpaczliwie próbującego powstrzymywać jęki bólu. Soames wiedział, gdzie został ranny. Doświadczył przecież tego, tak samo jak Fran. Domyślał się przyczyny rany i jej poważnego stanu. Wiedział też, że musi szybko stamtąd się zabierać.

Bez zwłoki posadził Frana za sobą na siodełku motocykla. Ruszył pełnym gazem i z najwyższą szybkością jaką zdołał wycisnąć z motocykla pomknął w górę drogą dla ciężarówek, wydostając się z przepaści poniżej zapory.

Udało się. Motocykl, z wyłączonymi światłami, przemknął przez tamę i skrył się za zakrętem drogi, zanim na autostradzie od strony Bluevale, pokazały się pierwsze błyski reflektorów nadjeżdżających samochodów.

Fran uczepił się kurczowo jego pleców. Ale wkrótce Soames poczuł, że chłopiec drży. Zatrzymał motocykl, na pustej drodze. Fran zacisnął tylko zęby i spoglądał na niego wyzywająco, w odbijającym się od drogi świetle, teraz już działającego pojedynczego przedniego reflektora motocykla.

– Gdybym był na twoim miejscu – stwierdził Soames, nie oczekując że zostanie zrozumiany, ale mówiąc po prostu jak jeden człowiek do drugiego, – gdybym był na twoim miejscu, to nie wstydziłbym się płaczu. Czuję, że sam mam niemal na to ochotę, z ulgi że twoje urządzenie sygnalizacyjne wybuchło.

Rozdział 9

Niebiesko-zielony kolor ognia, który buchnął tak szaleńczym płomieniem w pobliżu budynków elektrowni, nie był dla niego jakąś specjalną tajemnicą. Był to kolor parującej miedzi, podobny pojawia się podczas spalania resztek drewnianych, w których pordzewiały miedziane gwoździe. Nie była dla niego również tajemnicą przyczyna, która go wywołała. Było to gigantyczne zwarcie głównych przewodów elektrycznych, wychodzących z generatora i łączących się z krajowymi liniami przesyłu energii.

Soames widział naocznie, a kilku funkcjonariuszy ochrony domyślało się pewnie, że Fran spowodował krótkie spięcie. Pod miejscem, gdzie powstało zwarcie, pozostały ślady stopionego tajemniczego metalu. Bez wątpienia umieścił go tam Fran. W jaki sposób uniknął porażenia prądem, funkcjonariusze ochrony nawet nie próbowali dochodzić. Wiedzieli tylko, że próbował zbudować jakieś urządzenie, które nie zadziałało i doszczętnie spłonęło, oraz że chłopiec spadł na dół z dziesięciostopowej wysokości, próbując uciec przed palącym zielonym łukiem elektrycznym, a nawet to, że próbował wezwać pomoc słowami „Spróbuj! Spróbuj! Spróbuj!". Wiedzieli jeszcze, że ktoś pomógł mu uciec z miejsca w którym pracował i został ranny. Nie wiedzieli jak to się stało, ani że to był Soames.

Zakładano, że Soames jest w drodze na Wschód, by naradzić się z grupą naukowców, którzy dobrali do swej grupy kilku dobrych inżynierów, z dużym doświadczeniem w konstruowaniu urządzeń, i tryumfalnie pracowali do granic krańcowego wyczerpania.

Udział Frana w całej aferze, naturalnie był ścisłą tajemnicą. Światła i energia elektryczna w pięciu hrabstwach stanu Colorado, zgasły i nadal nie przywrócono tam zasilania. Miejscowe gazety drukowały oburzone artykuły od redakcji.

Prezentowały one ściśle lokalny punkt widzenia. Na wysokich szczeblach, panowało całkiem odmienny nastrój. Reakcja była zbliżona mniej więcej do sparaliżowanego przerażenia. Wiedziano, że za załamaniem pracy elektrowni stał Fran. Spowodował zwarcie próbując pobrać z wychodzącej z niej linii monstrualną ilość energii. Próbował wysłać sygnał na tak wielką odległość, że potrzebował mocy dziesiątków tysięcy kilowatów. Nie udało mu się, ale najwyższe czynniki wiedziały z całą pewnością, że próbował wysłać sygnał do swoich rodaków. I dla tychże najwyższych czynników oznaczało to, że próbował wezwać na podbój Ziemi flotę kosmiczną wyposażoną w jakieś cudowne i niesamowite uzbrojenie.

Tak więc z najwyższych możliwych poziomów kreowania polityki, popłynęły dwie dyrektywy. Po pierwsze, Fran musi zostać schwytany za wszelką cenę, nie bacząc na nakłady czasu, pieniędzy ani siły ludzkiej. Po drugie, reszta świata nie może się dowiedzieć, że jeden z członków załogi statku kosmicznego wydostał się na wolność.

Oznaczało to, że polowanie na Frana zostało zintensyfikowane do niesamowitego stopnia i stawało się coraz bardziej bezlitosne.

Soames tymczasem zmierzał na północ. Miał na sobie skórzaną kurtkę i jechał na poobijanym, starym motocyklu, a na siodełku za nim z pewnością musiał jechać jego młodszy brat, tak samo jak on ubrany w skórzaną odzież, noszący bardzo podobną czapkę, patrzący spode łba tak samo jak Soames, i w ogóle na wszystkie możliwe sposoby imitujący starszego mężczyznę. Był to widok tak normalny, że nikt w ogóle Frana nawet nie zauważał. Był on wyraźnie twardym młodszym bratem, młodego człowieka, takiego rodzaju, który jeździ poobijanym motocyklem, ponieważ nie może pozwolić sobie cokolwiek lepszego. Naturalnie

nikt nawet nie podejrzewał go o to, że jest telepatycznym potworem, istotą z kosmosu, ani przedmiotem desperackich poszukiwań.

Przydawało się również to, że początkowo nie zauważono zniknięcia Soamesa i w związku z tym, nie był on poszukiwany. Minęła cała doba po załamaniu się pracy Zapory Navajo zanim ktoś pomyślał, że dobrze byłoby go wysłać, aby zbadał stopione urządzenie. Minęły kolejne dwa dni, zanim ktokolwiek się o niego zaniepokoił, a trzy zanim sprawdzono wszystkie loty z Denver i nie znaleziono jego nazwiska na listach pasażerów.

Jednak czwartego dnia po tym jak zielony płomień sięgnął prawie niebios, Soames i jego spokojny ale groźnie spoglądający, rzekomy młodszy brat, zaszyli się już w chacie rybackiej nad brzegami Jeziora Calumet. Znajdowali się siedemset mil od Denver, a droga, którą przebyli była nawet nieco dłuższa. Usunęli się z dala od gwarnego świata. Podczas podróży robili biwaki na świeżym powietrzu, i to było pierwsze miejsce w którym zatrzymali się na nieco dłużej, aby zaopatrzyć się w zapasy.

– Teraz – powiedział Soames, gdy kolory zachodu słońca wypełniły niebo na drugim brzegu jeziora, – teraz zastanowimy się co zrobić. Musimy coś zrobić, chociaż jeszcze nie mam pojęcia, co. Przede wszystkim będziemy dalej grać role, które już przyjęliśmy. Przyjechaliśmy tu, żeby złapać trochę ryb. Do tej pory powinieneś już przebierać nogami, czekając na to. A więc chodźmy i złapmy sobie jakąś rybę na kolację.

Poprowadził ich dróżką do niewielkiego pomostu, gdzie uwiązana była mała łódka. Niósł także wędki i przynętę.

Odwiązał łódź i powiosłował na środek jeziora. Uważnie rozejrzał się dookoła i rzucił kotwicę. Założył przynętę na haczyk, czemu Fran przyglądał się z uwagą.

Soames wręczył wędkę również i jemu. Fran czekał w skupieniu. Kiedy Soames zaczął łowić, chłopiec naśladował jego działania. Obserwował wszystko na tyle, na ile pozwalał mu zapadający zmrok.

– Hmmm… – powiedział Soames. – Twoja kostka już wygląda w porządku. Na szczęście to było tylko skręcenie, a nie złamanie czy zwichnięcie. Cztery dni jazdy bez chodzenia, całkiem dobrze jej zrobiły. Wiemy też, to całkiem pewne, że nikt nie wie gdzie teraz jesteś. Ale dokąd dalej pojedziemy?

Fran uważnie słuchał.

– Przybyłeś z innego czasu – z rozdrażnieniem powiedział Soames. – Ale podróże w czasie są niemożliwe. Prawo przyrody, zachowania energii i materii, wymaga aby łączna ilość materii i energii w kosmosie, traktowanym jako zamknięta całość, była taka sama w każdej chwili. A więc taka jak była chwilę wcześniej, musi być również chwilę później. To jest oczywiste. Ta reguła przekreśla możliwość podróży w czasie.

Szarpnął swoją wędką. Nie udało mu się zaciąć ryby.

– Nie wydaje mi się, abyś mnie rozumiał – zauważył.

– Nie – rzeczowo odpowiedział Fran.

– To nie ma znaczenia – powiedział mu Soames. – Mówię, że nie można nalać galonu wody w pełną beczkę wina. Albo raczej nie można tego zrobić, dopóki nie będzie się

odprowadzało wina z taka samą szybkością, z jaką dodaje się wodę. Dopóki nie przeprowadzi się wymiany. Nie można więc przesunąć obiektu z punktu czasu A, do punktu czasu B, bez przesunięcia odpowiadającej mu ilości materii i energii z punktu czasu B do punktu czasu A. Jeżeli nie utrzyma się stałej ilości materii i energii, niezmienionej w obydwu punktach. Dopóki nie przeprowadzi się wymiany. A więc przybyliście do tego miejsca i czasu, z waszego miejsca i czasu — nazwijmy to, z waszego rodzimego punktu czasu — dzięki procesowi wymiany. Przez transpozycję. Przez zamianę. Transpozycja będzie tu chyba najlepszym słowem. Końcowym efektem była podróż w czasie, ale proces ten był czymś w rodzaju rozmowy telefonicznej, która daje efekt porozumiewania się na odległość, ale jest czymś zasadniczo różnym od tego.

Fran szarpnął za swoją wędkę. Dziewięciocalowy pstrąg jeziorny zatrzepotał na dnie łódki.

– Wydaj mi się, że nauczę cię jeszcze łowić ryby! – pochwalił go Soames.

Popatrzył jak Fran z najwyższą ostrożnością wyciąga haczyk, i zakłada nową przynętę, tak jak to widział wcześniej u Soamesa.

Soames kontynuował:

– Wasz statek został przeniesiony z waszego czasu do mojego. Równocześnie, gram wagi molekularnej za gram wagi molekularnej, coś musiało zostać przeniesione do waszego. Ponieważ przybyliście do mojego czasu na wysokości dwudziestu tysięcy stóp, a tam nie było niczego odpowiedniego do przetransponowania do waszego czasu, poza powietrzem, dlatego musieliście zabrać stąd powietrze i wyrzucić po waszej stronie. Aby wyrównać masę i energię waszego statku, twoją i pozostałych dzieci.

Jakby chcąc pokazać, że słuchał, Fran wtrącił:

– Zani, Mal i Hoda.

– Dokładnie! – Soames szarpnął swoją wędkę i wyciągnął drobnicę, którą w milczeniu ściągnął z haczyka i wrzucił z powrotem za burtę. – Biorąc pod uwagę rozrzedzenie atmosfery w miejscu w którym się pojawiliście, aby wasz statek mógł tutaj przybyć, musieliście przenieść od nas do waszego czasu, może nawet pół mili sześciennej powietrza.

Ponownie zarzucił żyłkę za burtę.

– Co oznacza, że nastąpiła implozja od jednej czwartej do połowy mili sześciennej próżni. To spowodowało trzęsienie ziemi, falę uderzeniową i tak poobijało wasz statek, że wyrwał się spod kontroli. Wydaje się sensowne, że spowodowało to zamieszanie i tumult u nas, gdzie operowała czysta, w żaden sposób niekontrolowana siła, ale nie w waszym czasie, gdzie działały maszyny i zespoły sterujące. Twoi rodacy musieli po waszej stronie operować większą energią — i w konsekwencji zadziałać z większą energią tutaj — niż my jesteśmy w stanie wyprodukować przy pomocy wszystkich generatorów istniejących obecnie na Ziemi i działających razem.

Łowił dalej, marszcząc brwi w zamyśleniu.

– Podejrzewam – powiedział Soames, po dłuższej przerwie, – że jeśli użyje się odpowiednich maszyn i urządzeń sterujących na obydwu końcach, zamiast tylko na jednym z nich, taka transpozycja w czasie, mogłaby być całkiem łagodnym procesem. Po prostu musi być przeprowadzana pod dokładną kontrolą. Wymagałaby także prawdopodobnie dużo mniej energii. Statek znikałby z waszego czasu, a równocześnie jego miejsce zajmowałby jego ekwiwalent masy i energii. Statek pojawiałby się w tym czasie, a równocześnie znikałby jego ekwiwalent masy i energii, po to by pojawić się w waszym czasie. Myślę, jednak, że za pierwszym razem stało się tak jak się stało, ponieważ cala rzecz była robiona z jednego końca. Musiało więc to potoczyć się tak spektakularnie, z błyskiem, trzęsieniem ziemi i całą tą resztą efektów specjalnych. Z wyposażeniem działającym po obu końcach, nie powinno być wybuchów zakłóceń, trzęsień ziemi, fal uderzeniowych, ani niczego poza spokojnym transferem.

W wyrazie twarzy Soamesa pojawiła się ironia.

– Czemu, gotów jestem zapobiec za wszelką cenę – dodał. – Muszę dołożyć ci jeszcze nieco brzemienia, Fran. Myślę, że wpadłem na pomysł pewnego rodzaju blefu, który moglibyśmy użyć, gdyby udało nam się bezpiecznie wydostać pozostałe dzieci. To byłby blef i to największy w historii. Ale dzięki niemu moglibyśmy wydostać się z tej paskudnej sytuacji…

Fran złowił pstrąga jeziorowego o wadze trzech czwartych funta. Soames złowił kolejnego, ważącego pół funta. Zanim zapadła zupełna ciemność, złapali jeszcze dwa, nieco mniejsze. Wtedy Soames odłożył wędkę i złapał za wiosła. Zaczął płynąć w kierunku brzegu.

– Pokażę ci jak wyczyścić i usmażyć rybę – stwierdził. – Myślę, że polubisz jej smak.

Pociągnął mocno jednym wiosłem, obrócił łódkę i złapał jeden z małych pali pomostu. Fran wspiął się na niego, a Soames podał mu ryby.

Poszedł za Franem brzegiem, w kierunku starego małego domku weekendowego, który wynajął. Pokazał Franowi jak oskrobać rybę z łusek, a potem jak ją upiec na otwartym ogniu.

Kiedy Fran poszedł już do łóżka, Soamesowi przyszło na myśl, że od czterech dni nie słyszał żadnych wiadomości ze świata. Podczas pośpiesznej podróży, którą odbył razem z Franem, ani razu nie czytał gazety, ani nie słuchał radiowych lub telewizyjnych wiadomości. Teraz Soames włączył małe radio, które znajdowało się w domku rybackim, aby dostarczać wędkarzom wcześniejszych informacji o pogodzie.

Niemal natychmiast trafił na wiadomości. Wszystko szło bardzo źle.

Stany Zjednoczone nie dały żadnego znaku tego, że korzystają z mocy telepatycznych Frana i jego towarzyszy. Nie schwytano żadnych szpiegów. Podwodna instalacja, która mogła wystrzeliwać pociski na Nowy Jork, z głębokości stu sążni, nie została zniszczona bombami głębinowymi. Były również inne oznaki braku przydatności informacji uzyskanych od dzieci. Żadne państwo nie było sobie w stanie wyobrazić, że inni pozwoliliby działać szpiegom, gdyby mogli ich wykryć.

Wśród antyamerykańsko nastawionych państw na świecie, zaczęły więc rozchodzić się szalone domysły. Przypuszczano, że transmisja była łgarstwem. Oczywiście, nikt nie wątpił w samo lądowanie statku kosmicznego. Dowodami na to były zakłócenia i trzęsienie ziemi, no i Rosjanie mieli fotografie. Ale dzieci były podejrzanie za bardzo podobne do dzieci ludzkich. Mogli to być przecież dziecięcy aktorzy, nauczeni odgrywania roli obcych, którzy sami nie mogli zostać pokazani. Istniała również prosta odpowiedź na pytanie, dlaczego prawdziwi obcy nie zostali ujawnieni. Mogli już nie żyć. Śmiertelna dla nich mogła być atmosfera Ziemi. Mogli umrzeć na jakąś infekcję, przeciw której nie mieli żadnej ochrony.

Politycy i rządzący światem podejrzewali Stany Zjednoczone o złą wiarę i oszustwo. Nie byli jednak pewni. Ale były sposoby na to, aby się upewnić.

Kiedy Soames, nad Jeziorem Calumet, nastawił wiadomości, Stany Zjednoczone po raz pierwszy zostały zmuszone, aby użyć prawa weta w Organizacjach Narodów Zjednoczonych. Przepchnięto tam bowiem rezolucję wzywającą Stany Zjednoczone, do przekazanie „załogi pozaziemskiego statku kosmicznego" komitetowi, który ma zostać wyznaczony przez Zgromadzenie Generalne ONZ. Stany Zjednoczone ją zawetowały. Ku ironii, ponieważ Fran uciekł i nie można było go ponownie odnaleźć, Stany Zjednoczone w żadnym wypadku nie mogły się zgodzić na tę rezolucję.

Ale weto wzmocniło wiarygodność podejrzeń. Brak zaufania umacniał się coraz bardziej. Kraje NATO poprosiły, o podzielenie się informacją techniczną otrzymaną z przestrzeni

kosmicznej. Takiej nie było. Poprosili, o udział w badaniach urządzeń ocalonych przez dzieci. To można by było zrobić, ale ostatnie zawirowania polityczne w łonie NATO, dawały w zasadzie gwarancję, że jakakolwiek informacja udostępniona każdemu z poszczególnych państw członkowskich, zostałaby natychmiast przekazana dalej do Rosji. W miarę możliwości, chciano tego uniknąć.

Zamieszanie coraz dalej się pogłębiało. Ameryka Południowa była tak głęboko podejrzliwa wobec kolosa z północy, że różne państwa łacińskie szukały zaangażowania krajów europejskich, w ich obronę przeciw agresji Stanów Zjednoczonych. Na Ziemi istniały dwa wielkie centra siły militarnej. Jednej grupie państw przewodziła Rosja, drugiej Stany Zjednoczone. Teraz wyglądało, jakby wkrótce miały powstać trzy centra. Rosja przewodziłaby jednemu. Drugie złożone byłaby z państw oderwanych od Stanów Zjednoczonych. Trzecim byłyby stojące samotnie Stany Zjednoczone.

Była to absolutnie perfekcyjna konstrukcja prowadząca do wybuchu pożogi wojny totalnej, która mogłaby rozpocząć się w każdej chwili.

Wiadomości, jakie Soames odebrał przez tanie radio w chacie rybackiej nad Jeziorem Calumet, mogłyby każdego człowieka przyprawić o atak serca.

Kiedy Fran obudził się rano, Soames pozdrowił go bez śladu uśmiechu.

– Jedziemy dalej, Fran. Muszę wykonać zamiejscową rozmowę.

Do południa ujechali dwieście mil i Soames rozmienił pieniądze na jednej ze stacji, na której kupował paliwo. Z jednej z kabin telefonicznych znajdujących się na dworze, zadzwonił do Nowego Jorku. Poprosił do aparatu wysokiego fizyka, który przyleciał na Zachód, do ukrytej bazy pocisków rakietowych.

– Tu Soames – powiedział bardzo wyraźnie. – Mam dla ciebie pomysł. Udaj, że chcesz zrobić coś podobnego do urządzenia, który zatrzymuje wiatry i ogrzewa miejsca. Wiesz o co chodzi.

Głos wysokiego fizyka zabełkotał coś w słuchawce.

– Wiem! – ponuro stwierdził Soames. – Podobno mam już nie żyć być zdrajcą albo jeszcze coś podobnego. Ale posłuchaj mnie! Jesteś rozbitkiem i dzikusy strzelają do ciebie z ukrycia. Chcesz zrobić coś podobnego do tej rzeczy, która zatrzymuje wiatr, ale chcesz, by to zamiast tego zatrzymywało strzały. Całkiem niezła łamigłówka. Być może jedyną przydatną rzeczą, jaką mają na tym dzikim świecie jest sposób generowania pól magnetycznych z minusową samoindukcją. To powinno zatrzymać strzały. Możesz założyć, że groty strzał są z metalu. Czy nadążasz za mną?"

Przerwa. Później metaliczny głos, osobliwie spokojny i równocześnie zdumiony:

– Dlaczego… tak! Bardzo interesujące podejście! Faktycznie, ostatnio mamy pewne bardzo zadziwiające wyniki. Jeden z nich będzie pięknie pasował! Tak! Pięknie!

– Jeżeli zrobisz to tak, by przeznaczone było dla wystarczająco dużych obszarów – kontynuował Soames, – będziesz wiedział, gdzie tego użyć i jak. I… – głos Soamesa stał się naprawdę ironiczny. – Jeżeli uda ci się to, to jest to jedna z tych rzeczy, które nie powinny być utrzymywane w sekrecie. Rozgłoś to! Rozgłoś to wszędzie! Daj to Rosjanom, Grekom,

Chińczykom, Francuzom i wszystkim pozostałym! Zrozumiałeś? Im więcej ludzi będzie o tym wiedzieć, tym lepiej.

Metaliczny głos odparł:

– *Właśnie zbudowaliśmy pewną rzecz, do rafinacji metali* in situ… *Piec indukcyjny, który tworzy pole termiczne, z dowolnej niemal odległości od elementów, przyjmujących z niego energię. To będzie doskonale pasowało! Oczywiście! Oczywiście! To wspaniałe, Soames!*

– Jeśli dasz radę to opracować i wdrożyć do produkcji, zanim rozpęta się piekło – powiedział Soames, – możesz dobrze zasłużyć się krajowi.

– *Gdzie jesteś, Soames? Potrzebujemy cię w kilku sprawach…*

Soames odłożył słuchawkę. Jego rozmowa, prawdopodobnie, mogła zostać namierzona. Przejechał dwieście mil, a więc ewentualne jej wyśledzenie, nie powinno stworzyć żadnych problemów. Wrócił do Frana wymachującego nogami na tylnim siedzeniu motocykla, i skierowali się z powrotem nad Jezioro Calumet, aby złapać kilka dodatkowych dni spokoju i ciszy.

Rozdział 10

Soames zadzwonił do Nowego Jorku w poniedziałek, kiedy wojna wydawała się na tyle prawdopodobna, że uważano nawet, iż może się rozpocząć w ciągu kilku najbliższych godzin. Przez cały poniedziałek napięcie międzynarodowe nie słabło. Na obrzeżach większych miast, stanowiących logiczne cele dla rakiet strategicznych, zapanowały permanentne gigantyczne korki. Każdy środek transportu, umożliwiający wydostanie się z wielkich centrów ludności, zatłoczony był ponad granice rozsądku.

We wtorek po południu, dla utrzymania przejezdności dróg, w dziesięciu stanach zmobilizowano oddziały gwardii narodowej.

Jednakże nad Jeziorem Calumet nie czuło się zupełnie tych wszystkich zmian. Soames i Fran nadal spędzali czas chodząc na ryby. Siedząc w łodzi, Fran czasami zamykał oczy i naciskał na jeden z końców małego komunikatora sensorycznego, który zrobił. Za każdym razem, włączał go na nie więcej niż sekundę. Jeśli udało mu się nawiązać kontakt z którymś z dzieci, był przygotowany do tego by mówić szybko— a więc one słyszały jego głos za pośrednictwem jego uszu — zapewniając ich, że był bezpieczny i prosząc o wiadomości od Zani, Mal, Hoda i Gail. Potrafił to zrobić naprawdę szybko. Soames bezwzględnie nalegał, aby komunikator używany był wyłącznie przez chwilę.

– Być może te urządzenia da się namierzać kierunkowo – powiedział. – Służby bezpieczeństwa chcą cię koniecznie złapać, Fran. Jeśli istnieje jakiś sposób, by złapać na ciebie namiar kierunkowy, znajdą go! A więc, rób to jak najkrócej!

W czwartek rano wszystkie transmisje radiowe zostały przerwane, aby donieść, że biegnąca przez Kanadę linia radarów DEW, wykryła w powietrzu jakieś obiekty poruszające się od strony Bieguna Północnego, w kierunku Stanów Zjednoczonych. Cała Ameryka zacisnęła swoje pięści i czekała, aż pociski uderzą, albo zostaną zestrzelone przez antyrakiety, zgodnie z wyrokiem bogini losu i szansy. Dwadzieścia minut później przyszła korekta. Obiekty wykryte przez radary, nie były rakietami, ale formacją samolotów. Wkrótce zmieniły one kurs i wróciły do swoich baz. Były to prawdopodobnie obce samoloty bojowe, patrolujące daleko poza swoim dotychczasowym obszarem działania.

Soames wstrzymywał oddech razem z całą resztą kraju. Właśnie zaczął ponownie swobodniej oddychać, kiedy zobaczył Frana, biegnącego od strony chaty weekendowej. Jego oczy wręcz świeciły.

– Rozmawiałem… – złapał oddech – z Zani. Powiedziałem… – ponownie złapał oddech, – że przyjedziemy. – Dodał jeszcze. – Nasz język.

Soames spojrzał na niego ostro.

– Ty być może, potrafisz czytać w myślach. Czy ktoś was podsłuchiwał? Ktoś jeszcze oprócz Zani?

– Dwaj ludzie – powiedział Fran. – Dwaj. Oni mówili. Szybko. Angielski.

– Gdyby tylko was monitorowali, to byłby tylko jeden – powiedział Soames ponuro. – Dwóch oznacza namiar kierunkowy. Jedziemy!

W ciągu tej nocy, znaleźli się setki mil od Jeziora Calumet.

Autostrady były pełne ludzi, którzy ewakuowali się z miast. Duża liczba ludzi w odległych miejscach od swoich rodzinnych miast, stanowiła ochronę dla Soamesa i Frana. Martwił się jednak o Gail, o sytuację jej i trójki pozostałych dzieci, która była nie do

pozazdroszczenia. W warunkach rosnącego obecnie zamieszania i napięcia, mało prawdopodobna stawała się jakakolwiek poprawa ich statusu.

– Myślę – Soames z zastanowieniem powiedział Franowi, – że teraz nocą, w obecnym stanie dezorganizacji, który wydaje się jeszcze rosnąć, możesz spróbować znowu porozmawiać z którymś z twoich towarzyszy. W ciemnościach, w tych górach nikt nie będzie ryzykował skoku ze spadochronem. – Znajdowali się wtedy sto mil na południe od Denver. – Nie dadzą rady zorganizować niczego przed świtem, a mam wątpliwości, czy są w stanie zablokować autostrady. Chcesz spróbować, czy uda ci się z nimi skontaktować, co? I dowiedzieć się, co u nich słychać?

Fran pokiwał głową. Odsunął się trochę, tak by nie docierało do jego zmysłów gorąco ogniska, wskazujące, że obozują gdzieś pod gołym niebem. Znalazł miejsce, w którym się mógł wygodnie położyć, tak by nie rozpraszały go żadne odczucia. Zamknął oczy. Soames zobaczył, jak naciska koniec swojego małego komunikatora i puszcza go szybko. Po krótkiej przerwie ponownie go nacisnął. Trzymał komunikator włączony przez kilkanaście sekund, może pół minuty. Potem puścił przycisk i podniósł się.

– Spróbuj! – powiedział w intrygujący sposób. – Spróbuj!

Soames zamknął oczy. Nacisnął małą główkę od szpilki na końcu swojego komunikatora, ledwie co większego od patyczka zapałki. Poczuł wrażenia sensoryczne innego ciała. Otworzyło ono oczy. Soames zobaczył, kto to był, w lustrze odbijała się twarz Gail. Była zupełnie blada. Miała smutny i udręczony wyraz twarzy. Ale uśmiechnęła się do swojego odbicia, ponieważ wiedziała, że Soames także zobaczy to co widzi ona.

Zaczął mówić na głos, tak by mogła słyszeć co powiedział.

– Gail!

Czuł rękę — która była jej ręką — rozlewającą coś na równiej powierzchni, która miała przed sobą. Potem wygładziła powierzchnię rozlanej gęstej mazi. To był puder do twarzy, rozprowadzony na blacie stolika z kosmetykami. Zaczęła pisać palcem. Spojrzała w dół, pokazując mu co zostało tam napisane.

– *Pomóż Franowi* – przeczytał. – *Musisz!*

Poczuł jej rękę szybko wygładzającą przekazaną wiadomość. Wezbrała w nim wściekłość. Natychmiast zrozumiał co się stało. Ucieczka Frana znad Jeziora Calumet wykazała, że dowiedział się on już o przejęciu jego linii komunikacyjnych i namiarach kierunkowych. Dlatego pozostałe dzieci nie były już dłużej przydatnym narzędziem, dzięki któremu mógłby zostać złapany w pułapkę. Ponownie więc zabrano im komunikatory, i teraz były nieustannie i rygorystycznie pilnowane. Rejestrowane było każde ich spojrzenie, każde słowo i każdy gest.

– Musimy się pośpieszyć – powiedział Soames zimno, tak by go usłyszała. – Pomógłbym mu, ale on chce się skontaktować ze swoimi ludźmi.

Gail znowu otworzyła oczy. Jej obraz w lustrze przytaknął mu głową.

– A jeśli uda mu się to zrobić – powiedział Soames tak samo zimno jak wcześniej, – to oni tu przybędą i nas podbiją. A ja wolałbym, żebyśmy raczej wybili siebie sami nawzajem, niż zniewolili nas najbardziej nawet przyjaźnie nastawieni najeźdźcy.

Poczuł jej rękę ponownie wygładzającą rozlany puder do twarzy. Napisała coś na nim. Widział co napisała, zanim jeszcze rzuciła na to swoim wzrokiem. Nie mógł w to uwierzyć. Napisała trzy słowa, nie, dwa słowa i liczebnik. Soames poczuł prawie namacalny, fizyczny szok. Ciągle nie mógł w to uwierzyć. Gdyby to była prawda…

Wtedy poczuł, że na ramieniu Gail zacisnęła się mocno czyjaś ręka. Usłyszał głos kapitan Moggs, autorytatywny, surowy i pełnym wyrzutu:

– *Gail! Jak mogłaś to zrobić! Ty też masz jedną z tych okropnych telepatycznych rzeczy! To bardzo poważna sprawa, Gail!*

Potem kontakt został przerwany. Kapitan Moggs musiała zabrać Gail komunikator.

Wściekając się w duchu, Soames zabrał Frana i wyjechali z tego miejsca, które zostało już bez najmniejszej wątpliwości namierzone. Kiedy pędzili coraz dalej przed siebie, próbował nieustannie zastanawiać się nad znaczeniem dwóch słów i liczebnika, który na pierwszy rzut oka wydawał się zupełnie nieprawdopodobny.

Wkrótce po świcie kupił starą gazetę sprzed dwóch dni. To była najświeższa, jaka mógł znaleźć na półce sklepowej. Odjechał na pewną odległość i zatrzymał się, w miejscu gdzie autostrada robiła specjalnie widowiskowy zawijas nad przepaścią, i dlatego zrobiono tam wysepkę dla turystów, na której mogli zaparkować, aby podziwiać wspaniały widok. Zatrzymał się tam i z zastanowieniem zaczął czytać wiadomości dotyczące wojny, pokoju, oraz dzieci, a przez to również i Gail. Na koniec starannie złożył gazetę, i z pełnym opanowaniem podarł ją na drobne kawałeczki. Później gniewnie oznajmił:

– Fran, mam do ciebie jedno pytanie, o pewną rzecz, o którą nigdy wcześniej nigdy nie przyszło mi do głowy, by cię zapytać.

Zadał nurtujące go pytanie. Fran mógłby pewnie na nie odpowiedzieć dwoma angielskimi słowami i liczebnikiem, i to dokładnie tymi samymi słowami i liczebnikiem, których użyła Gail. Brakowało mu jednak odpowiednich słów. A już zupełnie nie znał liczb. Sposób zapisywania liczb stosowany przez Frana, był niemal tak samo skomplikowany, jak system liczbowy wykorzystywany w starożytnym Rzymie, a w dodatku Soames nie znał do niego klucza. Zabrało mu więc to nieco więcej czasu, zanim uchwycił liczbę, jaką miał na myśli Fran. Wtedy Soames musiał się upewnić, że dobrze to wszystko zrozumiał.

Nagle zdał sobie sprawę, że to musiała być prawda. Wiedział również, dlaczego musiało tak być. To zwiększyło jeszcze jego gniew na całą sytuację i sposób w jaki traktowane były Gail i dzieci.

– Zgodnie z informacjami podawanymi przez tę gazetę – powiedział zimno, – moi drodzy rodacy zdecydowali się zasłużyć na szacunek i wdzięczność opinii publicznej całej ludzkości i postanowili was sprzedać. Sugerują utworzenie międzynarodowego komitetu pod egidą ONZ, któremu przekazano by opiekę nad tobą i pozostałymi dziećmi. Ten komitet mógłby wtedy zabrać się do pracy nad wami, aby dowiedzieć się skąd przybyliście, dlaczego, i kiedy można się spodziewać, że zaczną was poszukiwać. Teraz wiesz już, tak samo jak ja, że w dużej części nie przyjmą tego, czego uda im się od was dowiedzieć. Podróż w czasie jest, według nich, po prostu niemożliwością. A więc kiedy wy, dzieci, powiecie im skąd pochodzicie, z pewnością w to nie uwierzą. Będą próbowali węszyć za tym, co uważają za kłamstwo. Użyją najróżniejszych technik przesłuchań. Wykorzystają narkotyki, zmuszające do mówienia prawdy. Oni…

Wyraz twarzy Frana się nie zmieniał. Nie był jednak już taki bierny.

– To jednak wydarzy się – oznajmił Soames z nagłą furią, – dopiero po moim trupie! Gail myśli dokładnie tak samo. A więc do roboty! Musimy zaplanować naprawdę potężnych rozmiarów przekręt, który rozsadzi tryby tej machiny.

Kopnął rozrusznik motocykla. Pomknęli w dół, krętą drogą wychodzącą z gór w kierunku nizin. Dojechali do jakiegoś niedużego miasteczka. Tam kupił mały biwakowy namiot, szczypce, niewielką kempingową kuchenkę, lampkę kempingową, żywność, koce, zapałki.

Wrócili na podgórze i zabrali się za chyba najdziwniejszą konferencję naukową w historii. Sceną obrad był odludne i całkowicie zaimprowizowane obozowisko, nad brzegiem bystro płynącego strumienia, pełnego pstrągów. Razem wędkowali. Dyskutowali. Rysowali i objaśniali sobie nawzajem różnego rodzaju równania i wykresy.

Angielski Frana poprawił się w znacznym stopniu, ale dyskusja miała charakter wysoce techniczny. Minęły więc dwa dni, zanim Soames uzyskał od niego wszystkie informacje, których koniecznie potrzebował dla realizacji tego, co świtało mu w głowie. Narysował roboczy szkic planów urządzenia, jakie musieli zbudować. Doskonale rozumiał, że jego projekt był znacznie uproszczoną wersją dużo bardziej złożonego urządzenia. Zostało ono tak zaadaptowane, aby można było je wykonać przy pomocy dostępnych na miejscu materiałów. Mniej więcej to samo Fran próbował zrobić koło Zapory Navajo.

– I to – powiedział Soames, marszcząc brwi, – okazało się że nie działa. Nie rozumiałeś charakteru miejscowych zasobów. Ta rzecz działa, to widać wyraźnie, dzięki temu, że potężne pole elektryczne jest gwałtownie odcinane i natychmiast się załamuje. Oryginalny aparat — ten, który spaliłem — bez wątpienia miał bardzo fajny kondensator, do przerywania silnego strumienia ładunku, nie powodując powstania łuku elektrycznego. Kłopot na Zaporze Navajo polegał na tym, że twoje urządzenie wygenerowało łuk — i to jaki! To była fuszerka!

Przerwał, zastanawiając się przez chwilę. Kiedy Soames na niego nie patrzył, Fran spoglądał na niego z nieskrywanym, olbrzymim szacunkiem.

– Problem – powiedział Soames, głęboko się zamyśliwszy, – jest po prostu spotęgowanym zadaniem wyłączenia światła elektrycznego, bez spowodowania iskry na przełączniku. To wszystko. Nie ma znaczenia jak długo trwa przepływ prądu. Cała rzecz polega na tym, by go zatrzymać natychmiast. Odwróćmy więc ten cały interes do góry nogami.

– Zamiast generować potężny i stały prąd i potem go odcinać, rozpocznę od braku przepływu i jakiegoś urządzenia do generowania impulsów świetlnych. Każdy fotograf amator ma takie w lampie błyskowej. Dają one prąd mniej więcej o natężeniu ośmiuset amperów i napięciu dwa i pół tysiąca wolt, przez czterdzieści tysięcznych sekundy. Ładunek nie płynie wystarczająco długo, by cokolwiek wypalić. W zasadzie odcina sam siebie. Nie ma niczego, co utrzymałoby łuk.

– Naprawdę trudną sprawą – powiedział z nieszczęśliwą miną, – może być kradzież helikoptera. Myślę jednak, że uda mi się to zorganizować.

Zostawił Frana nad strumieniem i znowu pojechał do najbliższego miasteczka, aby kupić części niezbędne do budowy zaprojektowanego urządzenia. Folia miedziana. Lampy błyskowe, dwie. Chciał użyć folii zamiast wielkopowierzchniowego promiennika rozpraszającego ciepło ponieważ prąd miał płynąć bardzo krótko. Oczywiście prąd jaki chciał uzyskać musiał być potężny. Dwa połączone szeregowo urządzenia od lamp błyskowych dałyby mu cztery miliony watów mocy, przez ułamek mgnienia oka.

Po powrocie do obozowiska, Soames zawołał Frana:

– Musimy ruszać do roboty. Wydaje mi się, że nie mamy zbyt wiele czasu. Miałem nadzieję, że zostanie zbudowana pewna rzecz dla rozbitków, ale jakoś o niej nie słychać.

Zaczął składać urządzenie, które zastąpiłoby większy, cięższy, dużo bardziej masywny aparat który zniszczył na polu lodowym Antarktydy. Praca szła szybko. Soames już wcześniej miał rozplanowany w głowie cały mechanizm, a zawsze łatwiej buduje się rzecz, którą samemu się zaprojektowało, niż na podstawie schematów otrzymanych od kogoś innego.

Przed zachodem słońca montaż przyrządu został zakończony. Fran był pełen respektu. Aparat miał mniej niż jedną czwartą wielkości urządzenia, które do tego samego celu przygotowali jego rodacy. Miał również przenośne zasilanie, był więc niezależny od jakiegokolwiek zewnętrznego źródła energii.

– Chciałbym porozmawiać o tym z twoimi rodakami – ponuro stwierdził Soames. – Myślałem trochę, o tym jak pewne rzeczy mogą być transportowane w kosmosie i wydaje mi się, że w podobny sposób powinno to również działać dla podróży w czasie. Ale powstrzymuje mnie problem startu z jednego końca.

Zostawili malutki namiot i całe wyposażenie biwakowe.

– Nie będziemy ich potrzebować –powiedział, – a jeśli nawet, to nie będzie możliwości aby z nich korzystać.

Poobijany stary motocykl powiózł ich przez ciemną noc. Soames przestudiował mapy drogowe, a on i Fran szczegółowo przedyskutowali trasę jaka pokonał z ukrytej bazy pocisków rakietowych, do Zapory Navajo — po przejściu przy użyciu szczudeł ogrodzenia elektrycznego. Soames był niemal pewien, że dzięki pomocy Frana, będzie mógł znaleźć pseudo wioskę, w której przetrzymywano Gail i dzieci. Pozostała tylko kwestia zdobycia helikoptera. Była bowiem do wykonania również pewna bardzo istotna operacja, przy realizacji której także najlepiej byłoby wykorzystać helikopter. Tak więc po opuszczeniu swojego biwaku, skierowali się w stronę malutkiego miejscowego lotniska, na którym kiedyś Soames już raz lądował. Były na nim hangary dla pół tuzina tanich prywatnych samolotów oraz dla dwu helikopterów, używanych przede wszystkim do oprysków zbóż.

Na lotnisku, Soames położył motocykl obok płotu otaczającego chroniony teren i zostawił przy nim Frana, by na niego poczekał. Cicho poruszał się przez ciemność w kierunku zamkniętych budynków, w których nie paliło się ani jedno światło, z wyjątkiem pomieszczenia zajmowanego przez stróża.

Fran czekał, oddychając pośpiesznie. Słyszał tylko buczenie nocnych owadów i nic poza tym. Wydawało się, że minęła niemal wieczność, zanim dobiegł do niego klekocący odgłos zapalanego, nieco zdezelowanego silnika. Maszyna zaskoczyła jednak natychmiast i zaczęła pracować równym rytmem. Stopniowo przerodziło się to w wypełniający cały budynek hangaru przeraźliwe wycie. Wielkie wrota pochyliły się i zaczęły unosić w górę, a w oświetlonej stróżówce otworzyły się drzwi, z których wyskoczył na zewnątrz krzyczący dozorca.

Ton ryku silników stopniowo się zmieniał. Wrota hangaru otworzyły się już do końca. Wyjąca maszyna wytoczyła się na zewnątrz. Dźwięk stawał się coraz głośniejszy, w miarę jak lekko się uniosła a potem z rzucającą się w oczy niezgrabnością podryfowała ponad płytą lotniska. Dozorca mógł jedynie bezradnie krzyczeć i wygrażać, za odlatującym śmigłowcem.

Fran włączył reflektor motocykla, tak jak to ustalili wcześniej, i zabrał z siedzenia urządzenie zrobione przez Soamesa, przy pomocy obwodów wymontowanych z lamp błyskowych. Helikopter zbliżył się do niego, na wysokości sześciu stóp nad ziemią. Na moment przyziemił i Fran szybko wskoczył do kabiny. Wtedy silniki naprawdę zagrzmiały i helikopter uniósł się w niebo.

Soames leciał bez świateł zmierzając w kierunku południowym.

Pod nimi pojawiła się autostrada transkontynentalna. Widać ją było wyraźnie, ponieważ pocętkowały ją światła samochodów, których ruch był dużo bardziej intensywny niż zazwyczaj. Dalej polecieli nad nią. Fran pozostawał w czymś w rodzaju nieustannego zachwytu. Soames zapytał:

– Fran, nie boisz się?

Fran potrząsnął głową. Wtedy, zupełnie w chłopięcym stylu włączył małe tranzystorowe radio, żeby pokazać swoją nonszalancję. Usłyszeli jakiś mówiący głos. Chłopiec chciał przestawić radio na muzykę, ale Soames pochwycił słowo albo dwa.

– Zostaw to! – polecił. – Puść tak, żebym również słyszał.

Fran zwiększył siłę głosu i tak trzymał małe radio, aby Soames mógł je słyszeć pomimo hałasu silników.

To, czego słuchali, było oficjalnym komunikatem rządu Stanów Zjednoczonych, ogłaszającym koniec prawdziwego zagrożenia atakiem atomowym. Jakimś szczęśliwym zrządzeniem losu, ktoś we władzach zrozumiał, że ważniejsze jest przekazanie samej wiadomości, niż zrobienie profesjonalnego show na jej temat. Tak więc zmęczony, ale budzący zaufanie głos przekazywał w bardzo prostych słowach, że wydaje się iż amerykańscy technicy rozwiązali problem obrony przed atakiem przy użyciu bomb atomowych i pocisków sterowanych. Dokonano ostatnio, jak mocno stwierdził głos, znaczącego postępu w dziedzinie elektrycznych pieców indukcyjnych. Podstawowa zasada działania pieca indukcyjnego polega na wywołaniu zmian cieplnych w metalu, który ma zostać stopiony, zamiast w otaczającym go pojemniku. W ciągu ostatnich czterech dni przeprowadzono eksperymenty z piecami indukcyjnymi nowego typu, podczas których udowodniono, że mogą one indukować ciepło w wybranych obiektach, nawet z odległości wielu mil. Miały być one przeznaczone do wytopu metali bezpośrednio w złożach, w których zostały znalezione tak, aby kopalnie mogły wydobywać swój produkt od razu w postaci czystego metalu, bez konieczności wykopywania i transportu bezużytecznego materiału skalnego. Obecnie urządzenie to skojarzone zostało z radarem.

Kiedy radar wykrywał pocisk albo nieprzyjacielski samolot, przeciwko niemu kierowana była emisja, jak to ostrożnie określał przekaz, z pieca indukcyjnego nowego typu. Skutek był dokładnie taki, jak w przypadku umieszczenia pocisku w rozpalonym piecu hutniczym. Po prostu się topił. Bardzo uważnie przeprowadzone testy, pozwalają na zapewnienie Ameryki, że każde miasto chronione przez sterowany radarem, działający na odległość piec indukcyjny, jest w pełni bezpieczne przed atakiem atomowym i powodowanymi przez niego straszliwymi zniszczeniami.

Do czasu tej transmisji, wszystkie główne centra populacyjne w Stanach Zjednoczonych, były już chronione przez nowy system obronny. Miasta, które były najbardziej wrażliwymi celami teraz stały się najbezpieczniejszymi miejscami w kraju. Stwierdzono również, dodał głos z wyraźnym ukontentowaniem, że pola indukcyjne nie powodowały eksplozji przenoszonych przez te pociski ładunków atomowych. Indukowane prądy wydawały się unieruchamiać mechanizmy detonacyjne. Okazało się, że niemożliwe jest zaprojektowanie detonatora, który zdążyłby odpalić ładunek, zanim sam nie zostanie stopiony.

Transmisja zakończyła się rzeczowym stwierdzeniem, że plany systemu obronnego zostały przekazane wszystkim sojusznikom Stanów Zjednoczonych, a więc Londyn jest już również bezpieczny, Paryż powinien być za kilka godzin, a w ciągu kilku dni, państwom, które nie są sojusznikami, także zostanie udzielona odpowiednia pomoc, tak aby w przyszłości wojna atomowa nigdy już nie była śmiertelnym zagrożeniem.

Soames słuchał z dziwnym wyrazem na swojej twarzy.

– A wszystko to – powiedział, – rozpoczęło się od urządzenia dla rozbitka, którego zadaniem było zatrzymywanie strzał, którymi strzelały do niego z ukrycia dzikusy. Bardzo mi się to spodobało.

Nie musiał już niczego więcej mówić. Oczywiście, przyjemność, jaką odczuwał, była jedyną nagrodą, którą mógł otrzymać. W obecnej chwili, jego udział w tym przedsięwzięciu, amerykańscy współrodacy, przyjęliby z najczystszym przerażeniem.

Daleko, daleko w dole pojawił się, nieregularny jaśniejszy kształt, wyróżniający się w świetle gwiazd pośród otaczającej go czerni pokrytego drzewami terenu. Miał kilka mil długości. Odbijały się w nim gwiazdy. Był to retencyjny zbiornik przeciwpowodziowy z Zaporą Polder. Nie było na niej elektrowni. Zbiornik ten po prostu wykorzystywał kilkaset tysięcy akrów wyrąbanego lasu, do bardziej efektywnego kontrolowania powodzi.

Bez słowa, Soames zaczął schodzić helikopterem w dół, po skosie. Wkrótce zawisł delikatnie nad zwieńczeniem tamy, niemal dokładnie w jej środkowym punkcie. Podwozie dotknęło nawierzchni. Wielkie śmigło helikoptera zwolniło i przestało wirować. Zatrzymał silnik. Zapadła głucha cisza.

Fran wysiadł z helikoptera. Soames wyskoczył zaraz a nim. Wspólnie przygotowali urządzenie jednostki przesyłu w czasie, wcelowując jego niewielką antenę o skomplikowanym kształcie w wody zbiornika.

– Postanowiłem podjąć to ryzyko – powiedział Soames. – Mam nadzieję, że uda nam się jakoś porozumieć. Ale to ty pociągnij za włącznik.

Włącznikiem był po prostu sznur prowadzący do samego urządzenia, którego pociągnięcie miało rozładować pakiety impulsowe z lamp błyskowych. Rozładowanie miało zostać przerwane w precyzyjny sposób, ale absolutnie nagle. Pakiety naładowałyby się wtedy z dołączonych do urządzenia specjalnych baterii.

Fran pociągnął sznur.

Urządzenie nie wydało żadnego dźwięku, oprócz słabego i wydawałoby się zupełnie nieadekwatnego do skutków jego działania, „pstryknięcia". Właściwe, to nawet przez moment myśleli już, że nic się nie stało. Nagle jednak w powierzchni zbiornika pojawiła się dziura. To była bardzo duża dziura.

Coś wynurzyło się prosto z jej środka, w upiorny sposób błyszcząc w świetle gwiazd. Wznosiło się coraz wyżej, i wyżej i wyżej. Miało kształt cylindra, o średnicy mniej więcej pięćdziesięciu stóp, z zaokrąglonym wierzchołkiem. Powoli, cylinder rósł i rósł. W końcu ukazał się jego dolny koniec, również zaokrąglony. Unosił się w powietrzu.

Fran ponownie szarpnął za sznur. W jeziorze pojawiła się kolejna dziura. Z wolna wyłaniała się z niej kolejny zaokrąglony metalowy obiekt, nieśpiesznie, można by powiedzieć pokojowo, wznosząc się w gwiaździste niebo. Fran, szerząc zęby w grymasie szczęścia, znowu szarpnął za sznur, i jeszcze raz…

Kiedy w końcu przestał i stanął wyprostowany z błyszczącymi oczyma, w powietrzu unosiło się osiem olbrzymich lśniących cylindrów. Olbrzymi, metalowy obiekt podpłynął

ociężale w powietrzu, prosto w jego stronę. Otworzył się właz, z którego przemówił jakiś głos, w języku, którego dzieci używały między sobą. Fran odpowiedział mu, pamiętając żeby włączyć swój komunikator sensoryczny.

Fran mówił szybko jak gdyby do siebie. Ale to była standardowa praktyka w komunikacji sensorycznej. Po dłuższej rozmowie, zwrócił się do Soamesa.

– Moi rodacy mówią – przerwa – dziękuję – kolejna przerwa, – i pytają o Zani i Mal i Hoda.

– Powiedz im, żeby podlecieli dokładnie w to miejsce, utworzyli kolumnę i wznieśli się na wysokość mniej więcej dziesięciu tysięcy stóp. Wychwycą ich wtedy radary. Korzystając z ciemności nocnych, podlecą samoloty, aby sprawdzić co to jest. Domyślą się, kim są. Bardzo wątpię, żeby ich zaatakowano. Powiedz twoim rodakom, żeby tylko ich tu czymś zajęli, dopóki nie wrócimy z powrotem.

Fran z ochotą zaczął wdrapywać się z powrotem do kabiny helikoptera. Soames powiedział do niego:

– Wyłącz swój komunikator. Będziesz przez niego podsłuchiwany. Ale być może ludziom, którzy je monitorują, właśnie włosy stają dęba na głowie, po tym jak po pojawieniu się statków, odebrali ten natłok komunikatów!

Fran kręcił się z podnieceniem kiedy helikopter ponownie wzniósł się w powietrze.

Soames opanowało jakieś dziwne uczucie, że wszystko to nie może dziać się naprawdę. Ale jednak tak było, do tego ostatniego najdrobniejszego szczegółu, dzięki któremu mógł w ogóle pomyśleć o przeciwstawieniu się wszystkim swoim współrodakom, całej ludzkości, i zawierzeniu czwórce dzieci, w których losy życia i sprawę, został tak mocno wplątany. Jego początkowe negatywne stanowisko, wynikało z bardzo naturalnego przeoczenia.

Soames założył bowiem jako oczywistość, że cywilizacja dzieci obejmowała wiele milionów ludzi. Nieliczna populacja nie jest w stanie stworzyć ani utrzymać zaawansowanej technologicznej cywilizacji. Oczywiście miał co do tego całkowitą rację. Założył nawet, że ludzie Frana byli w stanie, podróżować między planetami. I znowu miał rację. Była jednak jedna rzecz o której nie pomyślał. Otóż opracowanie możliwości transpozycji w czasie — po której następnie mogłaby przyjść transpozycja w przestrzeni kosmicznej — nie mogło przyjść nikomu do głowy, dopóki nie okazało się, że nie ma absolutnie żadnego innego wyjścia, dla problemu przed którym stanęła Stara Rasa. Nikt nawet nie próbował zajmować się tym problemem, dopóki nie wybuchła piąta planeta, a los świata w którym żyli, nie stał się zupełnie oczywisty. Nie rozpoczęli prac dopóki nie zrozumieli, że odłamki, po Ziemi, muszą zbombardować, również Wenus i Merkurego, podobnie jak wcześniej zniszczyły Marsa.

Tak więc walka o to, by uciec przez czas, rozpoczęła się w pięćdziesiątej dziewiątej minucie ostatniej godziny. Miasta do końca walczyły o to, aby zbudować statki do podróży w czasie i wyekspediować do przyszłości pionierski statek. Asteroidy spadały z nieba, prosto na nie, ścierając je po kolei z powierzchni ziemi. Pozostałe miasta walczyły dalej, przesyłając do pozostałych — do coraz szczuplejszej liczby tych, które pozostały — rozwiązania kolejnych napotykanych problemów, jakie udało im się odkryć. Ale było ich coraz mniej i mniej… Miasto, z którego przybyły dzieci rozpadało się w ruiny od potężnych trzęsień ziemi, i jedynie niewielki ułamek jego populacji szaleńczo kontynuował dalsze prace…

Soames jednak o tym nie pomyślał. To Gail dowiedziała się tego od dzieci, które pozostały pod jej opieką. Dlatego właśnie powiedziała Soamesowi, że za wszelką cenę musi

pomóc Franowi, a jako powód podała tylko swa słowa i liczbę. Mówiąc o rodakach Frana przekazała Soamesowi następującą informację:

– *Pozostało tylko 2000.*

To musiała być prawda. Zgadzało się to z liczbą statków, które przetrwały do czasów współczesnych. Z rasy Frana pozostało jedynie dwa tysiące ludzi. Nie byli w stanie podbić dwumiliardowej ludzkości. Nie mogli narzucić im swojej władzy. Mogli jedynie schronić się między nimi, dzieląc się z nimi posiadaną wiedzą.

Szczęśliwy Fran pochylił się nad ramieniem Soamesa. Helikopter wyskoczył z obszernej szerokiej doliny.

Fran pokazał coś ręką. W tym miejscu zbiegały się dwie doliny. To on, po doświadczeniach pieszej ucieczki z bazy pocisków rakietowych, był autorytetem w kwestiach jak dostać się do niej z powrotem.

Helikopter kontynuował swój lot.

W pewnym momencie Fran powiedział:

– Tam!

W dole widać było małe światełka, wyglądem przypominające płomyki lamp naftowych. Nie były to jednak lampy, ale światła elektryczne.

Soames łagodnym łukiem skierował helikopter w kierunku niesamowicie przekonującej wioski w Górach Skalistych. Maszyna swobodnie pokonała ogrodzenie pod napięciem, najbardziej zewnętrzne z trzech istniejących. Ale, jeżeli nawet byli tam wartownicy, którzy mogliby do nich strzelać, to słyszeli oni już o przybyciu floty statków kosmicznych obcych. Nic tak typowego dla ludzkiej cywilizacji jak helikopter, nie mogło być wrogiem, kiedy donoszono właśnie o flocie inwazyjnej przybyłej nie wiadomo skąd…

Helikopter osiadł na ziemi z gwiżdżącym odgłosem. Soames wyłączył silniki. Potem Fran wykrzyczał radosne powitanie, i od strony okna dobiegł pisk Zani, z okna obok niemal wypadł Hod, a Mali pojawiła się kompletnie znikąd, biegnąc jak szalona. Z pobliskiej wioski dochodziły jakieś krzyki. Wkrótce podeszła również Gail.

– Wszyscy na pokład! – rozkazał Soames. Wasze rodziny są tutaj, dzieci, i czekają już na was! Gail ty też, teraz kiedy myślą, że naprawdę przybyła tu cała flota kosmiczna, ci goście z ONZ i wszyscy dokoła, będą chyba najbardziej wystraszoną bandą w historii. Zachowywaliśmy się przyzwoicie w stosunku do dzieci, a oni dobrze rozumieją że nie, myślą więc że zdobyliśmy poparcie dla naszych argumentów…

Trzasnęły drzwiczki helikoptera. Fran szczęśliwy zawołał:

– Lecimy!

Zahuczały silniki. Helikopter wyskoczył w górę. Pomknął przez wieś, potężnie rycząc. Gałęzie drzew uginały się gwałtownie w dół, szarpane podmuchem. Maszyna ruszyła dostojnym łukiem wzdłuż jednej doliny, prowadzącej do następnej, i chowając się poniżej stromych zboczy przemierzała kolejne doliny. W końcu znaleźli się w miejscu, gdzie osiem srebrzystych statków kosmicznych płynęło spokojnie ponad Ziemią, z niewielką grupą rozbitków ocalałych ze wspaniałej cywilizacji, rozglądających się w oczekiwaniu na świt, tak

by mogli zobaczyć ten nowy świat, świeży świat uzdrowiony ze wszystkich blizn, czekający…

Soames przyciągnął do siebie Gail.

– Mam zamiar zrobić z tych ludzi naszych przyjaciół, Gail! – Jego głos aż drżał z podekscytowania. – Widzisz? Oni mają cudowne osiągnięcia naukowe, ale musimy zacząć nad nimi dalej pracować! Potrzebują bardziej nowoczesnego punktu widzenia! Ten system przenoszenia w czasie, którego użyli do uratowania swojego życia, pewnością może również działać jako transporter kosmiczny. Muszę popracować nad tym z ich inżynierami! Razem mamy odpowiednio duży potencjał, aby wysłać coś w rodzaju miniaturowego transportera na Centaura i Aldebarana, a od tego już tylko krok do regularnego systemu transportu międzygwiezdnego i mnóstwa światów na które będzie mógł się przenieść każdy, kto będzie miał na to ochotę… Biorąc to, co mają ci ludzie, i dodając do tego nasze koncepcje… naprawdę możemy ruszyć z miejsca!

Prześlizgnęli się nad zwierciadlanymi wodami zbiornika za zaporą Polder. Fran głośno coś powiedział, do kogoś, słuchającego gdzie indziej. Powiedział coś ponownie. Korzystał nadal ze swojego, zrobionego domowym sposobem, komunikatora sensorycznego. Nagle dotknął ręki Soamesa.

– Moi ludzie mówią – przerwa – rozmawiasz z nimi. – Uśmiechnął się. – Chodźmy!

Gdy helikopter dotknął twardego gruntu, wielki srebrzysty cylinder bardzo delikatnie osiadł w pobliżu, i dzieci pobiegły w jego kierunku, piszcząc z radości i śpiesząc się by wpaść w objęcia rodziców, których obawiały się, że już nigdy nie zobaczą. Soames i Gail szli w kierunku tych samych otwartych i opuszczonych do ziemi wrót, ale wolniej, z nieco większą nieufnością. Czekali na nich chyba raczej dosyć sympatyczni ludzie. Wychowali naprawdę wspaniałe dzieci. Potrzebowali Soamesa i Gail, aby pomogli im zdobyć nowych przyjaciół.

Soamesowi jakoś nie przyszło do głowy, że przyłożył ręki, jeżeli wręcz nie spowodował, że w tym właśnie dniu, i w tych właśnie chwilach, ostatecznie zażegnane zostało niebezpieczeństwo wojny atomowej na Ziemi, a rodzaj ludzki rozpoczął drogę ku gwiazdom, a nie ku samozagładzie. Była to jednak prawda. Ludzie Starej Rasy, oczywiście, nie mieli zamiaru rządzić Ziemią. Było ich na to zbyt mało. Nie mieli również zamiaru odlatywać na jakąś inną planetę i żyć na niej samotnie. Do tego również było ich za mało. Byli ostatnimi ocalałymi ze wspaniałej cywilizacji, ale nie byli w stanie utrzymać jej poziomu inaczej, niż dzieląc się nią z ludźmi obecnie zamieszkującymi Ziemię. Mogli jedynie dołączyć do rozwijającej się młodszej gałęzi rodzaju ludzkiego jako współobywatele.

Dzięki temu ludzkość uzyskała teraz nową przyszłość. Ze stojącą obok niego Gail, Soames czekał, aż skończy się powitanie dzieci i ich rodziców. Spojrzał na Gail. Jej oczy świeciły blaskiem szczęścia.

Soames poczuł się wspaniale. To było doskonałe rozwiązanie kłopotów Ziemi, zarówno z przeszłości jak i przyszłości.

Czekały na nich gwiazdy.

KONIEC